13,000 abonentów!

Nr. 6. Rok VII.

Poznań, Niedziela dnia 8-go Lutego 1903.



PRACA

Tygodnik illustrowany.

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m., na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 39.

Telefon Nr. 1246. Telefon Nr. 1246.

Karty i ruleta.

Wyszły niedawno na jaw fakty z naszego życia codziennego, rzucające głęboki pomrok na sferę mieszczańską zarówno jak ziemiańską — fakty, wobec których prasie nie wolno milczeć, nie wolno bagatelizować sprawy, mającej pierwszorzędne znaczenie dla naszego charakteru i zdrowia narodowego.

Tam gdzie chodzi o stan psychiczny naszej społeczności, o wewnętrzną zdrowotność narodu, gazety mają obowiązek wytoczyć sprawę przed forum ogółu, by zainicyować lub posunąć naprzód sanacyą stosunków. Wszyscy bowiem wyznajemy dogmat, że na naszej wysuniętej i zagrożonej placówce narodowej rozszalałe fale niemczyzny nie powalą nas do nóg wroga, nie pochłoną, nie wymażą nas z rodziny polskiej, jeżeli mężnie stać będziemy na wałach, silni i czyści na duchu, z wiarą w siebie i w przyszłość. A więc *najważniejszem* zadaniem kół obywatelskich jest czuwać nad wewnętrznym duchowym stanem społeczeństwa, wyrywać kąkol z niwy narodowej, wskazywać na zło, leczyć i wlewać hart w serca. Punkt ciężkości naszych spraw jest nie w Berlinie, lecz tutaj wpośród nas, furya hakaty i ustawy antypolskie muszą pozostać sykiem bezsilnych gadów i martwą literą, jeżeli z niezłomnym charakterem stawimy czoło burzy. Nikt nam nie jest w stanie wyrządzić krzywdy — jeżeli nie umożliwimy mu tego w przystępie słabości. Niebezpieczeństwo z nazewnątrz jest niczem wobec niebezpieczeństwa z nawewnątrz. Sami jesteśmy twórcami naszej przyszłości. Mniejszem złem jest nowa ustawa aniżeli rys na zbiorowym charakterze społeczności naszej.

Z głęboką boleścią przeto spozieramy na karciarstwo, rozwielmożnione na bruku miast i po dworach, zapuszczające wszędzie swe zatrute korzenie, zanieczyszczające atmosferę społeczną. Przykry ten obraz roztoczyły przed nami *gazety hakatystyczne*, które naturalnie zacierają ręce z radości, niejako rzucając nam w oczy takie okrzyki tryumfu:

„Ongi twierdził Bismarck z trybuny sejmowej, że polska szlachta pieniądze odebrane od komisyi kolonizacyjnej straci przy stołach gry w Monaco. I nie omylił się, bo gra hazardowa z kół wyższych nie znikła nawet dzisiaj. Żelazny kanclerz powiedział nawet za mało, bo otóż hazard rozpościera się także po miastach, w kołach kupieckich, zatruwa dusze, paczy serca, zabija wszystkie szlachetniejsze pierwiastki, wypiera poczucie obywatelskie i tak ssie soki z łona społeczeństwa polskiego. Czego nie dokazały nasze miliony, rzucone na zmarnowanie żywiołu polskiego, tego dokona nasz najlepszy sprzymierzeniec — hazard! To pionier hakatyzmu, który łamiąc ducha obywatelskiego, zaszczepiając niezdrową newrozę pieniężną i zobojętnienie dla spraw narodu na miejsce wzniosłych i szlachetnych uczuć — sposobi teren dla naszej roboty antypolskiej. Nie pokonaliśmy bojowników polskich, ale pokonamy ich, skoro uwięzną w norach karciarskich. A więc kart dla Polaków, kart!!"

Raduje się wróg nasz i wskazuje na szkołę gry w ruletę, jaką w Poznaniu utworzył pewien kupiec, rozgłasza wieści o gremialnych wycieczkach do Monaco Polaków z sfery kupieckiej wracających z pustemi ki[illegible] i — całkiem rozwiniętą namięt[illegible] gry. Cieszą się Niemcy nad te[illegible], [illegible] posługujemy się kartami do tego, do czego są przeznaczone: do rozrywki, lecz w chorobliwem roznamiętnieniu zrobiliśmy z nich *narzędzie bratobójcze i — samobójcze.* A my stoimy wobec tych przerażających objawów karciarstwa bezradni, i, miasto na seryo zastanowić się nad postępującą gangreną karciarską, odwracamy oczy od tej choroby społecznej w wiel[illegible]iem zakłopotaniu.

Towarzystwo antyhazardowe oblokło się w chmurę milczenia. Jakoż drwią sobie z niego karciarze w żywe oczy

widząc, że jest ono tylko jednem z tych *czczych słów* i haseł, które rzuca się u nas dla zamydlenia oczu innym i sobie, by potem ułożyć się do snu z wielkiem zadowoleniem spełnionego... „obowiązku.“

Wprawdzie nie oczekujemy z strony Towarzystwa antyhazardowego wielkich rzeczy, bo pojmujemy ogromną trudność zadania, lecz mamy prawo spodziewać się co najmniej, aby dało znak życia, ujawniło swe dobre chęci, zrozumienie groźnych rozmiarów, jakie przybiera u nas hazard. Milcząc, Towarzystwo antyhazardowe wystawia sobie samo świadectwo zupełnej niezdolności i impotencyi, przez to siejąc w społeczeństwie zwątpienie i przeświadczenie, że nie ma środków przeciw karciarstwu.

A tymczasem są środki zaradcze. Nigdy karciarstwo nie da się wytępić zupełnie, wyrwać z korzeniem z gleby polskiej, bo jest to choroba ogólno ludzka, mająca swe uzasadnienie w niezdrowym stanie psychicznym jednostek, w warunkach ich rozwoju i specyficznych okolicznościach, ale z pewnością można to zło sprowadzić do mniejszych rozmiarów, uchronić zdrowe warstwy społeczne od zarazy hazardowej, uratować zastępy ludzi od spaczenia moralnego, od zatraty szlachetnych uczuć obywatelskich.

Skoro zdamy sobie jasno sprawę z przyczyn karciarstwa, wyłonią się wskazówki, na jakich szlakach szukać lekarstwa. A wtedy należy śmiałą ręką wtargnąć w ustrój naszego życia towarzyskiego, zreformować je tak, by przeciwdziałało pokątnym „zabawom“ przy zielonych stolikach, zbudzić uśpioną opinię publiczną, by piętnowała zawodowych karciarzy, ściągających innych i siebie w błoto upadku moralnego i materyalnego, postarać się o godziwe rozrywki, wsądować w ogół ożywcze pojęcia, skierować myśli na szczytne tory, wytknąć przeciętnym ludziom pochłaniające cele, odświeżyć umysły.

„Praca u podstaw!“ — wołało dawniej społeczeństwo wielkopolskie i szło budzić stan włościański do życia obywatelskiego. I dziś wołamy: „praca u podstaw!“ — w innym sensie, za podstawę poczytując charakter narodowy.

Ale Towarzystwo antyhazardowe milczy jak zaklęte...

Quis.

Czyj interes?

Zwalczając środki antypolskie i skarżąc się na wyrządzone nam krzywdy niektórzy posłowie nasi — a już specyalnie ks. prałat Jażdzewski — mają zwyczaj apelować przytem do *„sumienia“* rządu i Prusaków lub też wskazywać na to, że środki te i krzywdy sprzeciwiają się wprost *dobru* oraz *interesom państwa pruskiego względnie Rzeszy niemieckiej.* W interesie dwóch tych organizmów państwowych leży bowiem, ażeby miały u nas—na wschodzie, wiernych i zadowolonych poddanych itd. itd. Ten sam zwyczaj mają także niektóre organa prasy naszej. Często zaś, chociaż już nie tak często jak dawniej, grozi się jeszcze rządowi możliwością rozpanoszenia się u nas socyalnej demokracyi.

Bezcelowość i bezmyślność takiej groźby wykazaliśmy już niejednokrotnie, zwracając na to uwagę, że rządowi pruskiemu milsi by byli tu na wschodzie międzynarodowi socyaliści, niż najlojalniejsi nawet i najbardziej konserwatywni *narodowcy* polscy. Socyalizm bowiem jest rzeczą przejściową, przynajmniej w tej formie, jaką ma dzisiaj; poczucie narodowe natomiast, o ile go się szczep jaki dobrowolnie nie wyrzeknie, rzecz trwała, wieczna.

Dziś postaramy się jeszcze wykazać także całą niedorzeczność dwóch innych powyżej wymienionych a z naszej strony zawsze jeszcze używanych „argumentów.“

Czy ci, którzy się posługują temi argumentami uważają sfery rządowe w Prusach za tak ograniczone, iżby nie pojmowały należycie rzeczywistego interesu oraz dobra swego państwa i swego narodu? Czyż można się jeszcze łudzić, że perswazyami naszemi i skargami zdołamy wzruszyć „sumienie“ pruskie? Jeżeli ci „politycy“ nasi naprawdę tak się łudzą i tak mniemają, to szczerze ubolewać trzeba nad ich naiwnością. Niemcy, o ile wchodzi w rachubę własny ich interes, własne ich dobro, zawsze byli aż nadto trzeźwymi realistami, nigdy też interesu i dobra swego nie zarzucali, dziś tem mniej to o nich przypuszczać można, gdy pod rządami Bismarka przeżyli *wyższą* szkołę *egoizmu narodowego.* Mogą oni pojmować interes swój inaczej, niż my go pojmujemy, to atoli pewna, że zawsze ze *swego stanowiska dobrze go rozumieją* i nigdy z oka nie spuszczają. Co się zaś tyczy *sumienia* pruskiego, to już lepiej na jego określenie słów nie tracić, gdyż spiżową jego twardość uwydatniła krzyżacka historya. Wystarcza przecież przeczytać tylko dzieje tego zakonu, aby od razu pozbyć się wszelkich złudzeń co do *„sumienia“ Prusaków.*

Jeżeli więc Prusy dążą dziś całą siłą pary do zniemczenia polskich dzielnic, — to możemy być przekonani, iż nie czynią tego bezmyślnie w ślepej nienawiści, lecz w dobrze po swojemu zrozumianym *interesie* własnym. Inaczej zapewne nie wyrzucaliby na ten cel miliardów, nie podkopywali-by na razie równowagi w swem budżecie państwowem. — Dziś *wierzą* święcie, że dopną wreszcie zamierzonego celu. Kto tedy stara się im wytłomaczyć, że się mylą co do swego *interesu i dobra*, ten po prostu się ośmiesza.

Czas więc zaprzestać tej — dziwacznej taktyki, gdyż ona nas tylko poniża.

Chociażbyśmy zresztą byli również święcie przekonani, że Prusacy dzisiejszą swą polityką antipolską sami sobie zaszkodzą, że przeciwdziałają własnemu dobru, własnym interesom, nie miałyby te przyjacielskie perswazye nasze najmniejszego celu ani najmniejszej racyi. — W takim bowiem razie powinniśmy ich raczej, jako *wrogów* naszych, jeszcze utwierdzać w tem rzekomo mylnem ich mniemaniu, aby jaknajrychlej własnym strawili się nierozumem.

Stara to nasza wada, że zawsze bardziej się troszczymy o dobro oraz interesy innych, niż o własne. Dziś czas największy pozbyć się tej wady. W położeniu takiem jak nasze jedynie i wyłącznie dla nas miarodajnym powinien być *własny nasz interes.* Nie myśmy winni, że Prusacy uważają nas dziś za wrogów, których koniecznie wytępić trzeba. Oprócz tego, że z woli Bożej stoimy na przeszkodzie ich ekspanzywności, niczegośmy nie uczynili, coby usprawiedliwiało tę ich zaciekłą względem nas nienawiść, to godzenie na nasz byt i żywot. Skoro atoli oni uważają się za wrogów *naszych*, a *nas* za wrogów *swoich*; trudno! z tem się pogodzić musimy i postępować względem nich także jako *względem nieprzejednanych wrogów.*

Nie wyklucza to bynajmniej ścisłego i nadal z naszej strony wypełniania ciążących na nas obowiązków „wiernopoddańczych“ jak np. służby wojskowej, płacenia podatków, stósowania się do praw państwowych i krajowych, unika-

nia *gwałtownej* opozycyi. Tego wymaga także *nasz* interes. Niewypełnianie tych obowiązków bowiem uprawniłoby władze niemieckie i pruskie do wytoczenia przeciwko nam dział i kroci tysięcy karabinów, którym my nic podobnego przeciwstawić nie możemy. Skończyłoby się to na krwawej rzezi społeczeństwa polskiego, a na to chyba narażać się nie powinniśmy. *Po za tem atoli nie wolno nam do pomnażania dobra Prus ani palca przyłożyć.* — Tego wymaga *nasz* interes, to jest *kwestya bytu dla nas.*

A zatem: powinniśmy tak pracować, tak wyzyskiwać każdą sposobność do pracy, zarobku, organizowania i pomnażania sił i zasobów *własnych*, powinniśmy tak *oszczędzać*, tak *mądrze gospodarować*, iżby wszelkie *ekonomiczne* wysiłki Prusaków najmniejszej nie wyrządziły nam *szkody*, iżby nam po prostu *podołać nie zdołali* w tej dziedzinie. W tym celu zaś powinniśmy się jak najbardziej usuwać od wszelkich stosunków z Niemcami, najściślej *izolować* zarówno pod ekonomicznym i towarzyskim jak i narodowym względem. Powinniśmy dążyć do tego, ażebyśmy wystarczali najzupełniej sami sobie, ażebyśmy tworzyli naprawdę zupełnie i pod każdym względem odrębny organizm społeczno-narodowy i ekonomiczny w Prusach, stykający się z niemczyzną jedynie o tyle, o ile tego wymaga *przymusowa* nasza przynależność do Prus i Niemiec. Powinniśmy starać się o to, ażebyśmy spożywali tylko to, co sami wyprodukujemy, ażeby ani grosz po za *przymusową* daninę nie dostał się do rąk niemieckich. Że osiągnięcie takiego idealnego dla nas stanu przy dobrej woli i chęci jest możliwe o tem świadczą analogiczne niemal przykłady dziejowe. Hart i wytrwałość cudów dokazać mogą.

Tak samo postępować powinna nasza reprezentacya w obu berlińskich ciałach prawodawczych. Z sentymentalną troskliwością o dobro Prus i Rzeszy raz zerwać trzeba. Akcya naszej reprezentacyi ograniczać się winna do umiejętnego i energicznego wykazywania, że to co się względem nas czyni, *sprzeciwia się naszym prawom przyrodzonym, nadprzyrodzonym i politycznym, że jest po prostu krzywdą, jest nadużyciem.*

Jeśli Prusacy koniecznie chcą mieć w nas wrogów, niech ich mają i to już całą duszą.... Jeśli Bóg przeznaczył nas na zagładę, zginiemy; jeśli zaś takiego wyroku jeszcze na nas nie wydał, w takim razie napewno zwyciężymy, a zwyciężymy tem rychlej, im rychlej w ten sposób odpowiemy na zakusy naszych wrogów.

Narodowiec.

Dzień polski w parlamencie.

Interpelacya polska przyszła pod obrady parlamentu w piątek dnia 30-go z. m.; izba wysłuchała wymownych wywodów, a dwóch ministrów odpowiedziało na nią „po żandarmsku,“ następnie kilku hakatystów zabrało głos obowiązkowo i — odroczono interpelacyą ad calendas grecas. Przebrzmiały mowy, ministrowie i falanga junkrów zatykająca sobie uszy na skargi żywiołu polskiego, wyszli z posiedzenia jak weszli zimni i nieporuszeni, bo pod opancerzone pruskim ogotyzmem piersi nie może przedostać się ni promień uczuć humanitarnych lub poczucia sprawiedliwości dla spokojnych poddanych — wszelako *Koło polskie spełniło godnie swój obowiązek* i, jeżeli słowa posłów naszych tylko tu i owdzie w pośród posłów i ogółu niemieckiego wzniosły świadomość stanu rzeczy u nas i roznieciły iskrę współczucia i szacunku dla uciemiężonych, *nie poszły na marne.*

Interpelacya brzmiała jak następuje:

„Nierówne traktowanie polskiej ludności w obrębie rzeszy niemieckiej, sprzeczne z prawno państwową równością wobec prawa, ujawniające się szczególniej w bojkotowaniu polskich rzemieślników i kupców przez władze wojskowe, odbieraniu uprawnienia do jednorocznej służby za drobne przewinienia, w wykonywaniu przepisów ustawy stanu cywilnego, oraz traktowaniu politycznych dziennikarzy jak zwykłych zbrodniarzy, — powoduje podpisanych do zapytania się pana kanclerza, co czynić zamierza, aby takim stosunkom koniec położyć?“

Interpelacyą uzasadnił inicyator poseł *dr. Z. Dziembowski* w dwugodzinnem przemówieniu, wypowiedzianem z wielką adwokacką swadą w sposób, za jaki należy mu się wdzięczność.

Wykazawszy, że sprawy poruszone w sformułowaniu interpelacyi należą — do kompetencyi parlamentu, szanowny poseł wskazał cel interpelacyi, mówiąc:

„My pragniemy swego prawa! Pragniemy uznania równości prawa polskich naszych współobywateli, uszanowania ich praw konstytucyjnych oraz w ogólności praw ludzkich i naturalnych.“

Następnie począł dowodzić, że „konstytucya pruska istnieje dla Polaków tylko na papierze“ i jak z rogu obfitości rzucał przed forum parlamentu jeden dowód po drugim. Nie zbrakło ich na długie przemówienie, bo czyż niemal każdy dzień nie przynosi nam nowego pogwałcenia konstytucyi, nowego „dobrodziejstwa?“

Więc poseł Dziembowski wskazał na szykany przy zapisywaniu imion polskich w księgach urzędowych, na martyrologią redaktorów polskich, na różne wybryki władz wojskowych, na odebranie kwalifikacyi do jednorocznej służby gymnazyastom skazanym w procesie toruńskim za pielęgnowanie historyi i literatury ojczystej, na sprawę aresztowania akademika Wyczyńskiego, na utwierdzanie urzędników w hakatyzmie, na charakterystyczną i głośną sprawę Löhninga, wreszcie dalej na to, że wbrew orzeczenia hr. Bülowa nie wolno mówić jak nam „dziób urósł“. Z kolei podniósł mówca fakt, że w roku zeszłym *zakazano 30 polskich wieców*, że nietylko język polski i pieśń nasza są zabronione, lecz także strój polski. Ogromny, skrzętnie nagromadzony materyał musiał zastanowić posłów. Mówca żałował tylko, że kanclerz rzeszy nie raczył być obecnym. Nie byłby on mógł zaprzeczyć, że „racya państwa idzie w Prusiech ponad moralnością i ponad prawem“.

Zachowanie się rządu nazwał poseł „poprostu niezrozumiałem.“ Rząd robi wrażenie „gracza, który przegrał wstawkę i podwaja ją“ ale „na to, żeby nas milionami zgermanizować są Niemcy za ubogie.“ Do tego potrzeba miliardów, ale i te nie wystarczą! Mimo wszystko Polacy postąpili naprzód — *o własnej sile!*

Poseł *Dziembowski* zilustrował doskonale stosunki panujące u nas, jak pisze *„Dziennik Berl.“* połączył tak zręcznie i umiejętnie szerokie i trafne poglądy na stan sprawy [illegible] systemu pruskiego z całym szeregiem specyalnych, drastycznych wypadków, że pod imponującem wrażeniem jego uzasadnienia interpelacyi potoczyła się cała reszta dyskusyi.“

Koło polskie posiada w dr. Dziembowskim doskonałą, cenną siłę, można tylko jedno zarzucić dzielnemu mówcy t. j. brak „świętego ognia“, który z świetnego adwokata zrobiłby świetnego mówcę parlamentarnego.

Wrażenie mowy jednakże musiał

osłabić — ks. pralat Jażdżewski, który jak zaobserwował sprawozdawca „Dzien. Ber.“ podczas przemówienia polskiego interpelanta rozmawiał uprzejmie z ministrem Gosslerem, inicyatorem bojkotu polskiego w armii, następnie „z najsłodszą miną w świecie“ toczył rozmowę z hr. Posadowsky'm, tak iż ta polityka „wpływów i znajomości“ przygnębiające robiła wrażenie na Polakach na trybunie a nie mogła Niemców natchnąć szacunkiem dla nas.

Dwaj wzmiankowani ministrowie bagatelizowali sobie też interpelacyą; hr. P. uważał za stosowne poruszone sprawy odesłać do sejmu pruskiego, bąknął kilka ogólników o nierozerwalności dzielnic polskich z monarchią pruską a min. wojny starał się rozdać „winę“ toruńskich gymnazyastów do potwornych rozmiarów i bronić władzy wojskowej. A zdawkowym tym przemówieniom brakowało przekonania.

Po nich podjął rękawicę ks. *Radziwiłł* i, jak zapewnia „Dzien. Ber.“ i „Kur. Pozn.“ wzniósł się do wielkiej potęgi słowa, głębokie wywarł wrażenie. „Głębokość jego myśli, szczerość i przezroczystość jego uczuć były tak podbijające, że *nikt* w sali nie zdołał się uchylić z pod wrażenia.“ Zdało się, że myśli wydobywają się gdzieś „z ukrytych głębin, które wyżłobiły wiekowe tradycye“. Całość jego wystąpienia była szczerze *polską*.

„Rząd zgadza się na to, — mówił sędziwy prezes Koła — aby gminy żydowskie decydowały same o tem, w których szkołach zaprowadzić naukę języka hebrajskiego. Dla czegóż więc Polakom nie przysługuje co do języka polskiego to samo prawo? Toć oni nie są przybyszami obcymi, lecz żyją na glebie odziedziczonej od praojców.

Stoimy na gruncie monarchii i uznajemy, że monarchia posiada prawa *z Bożej łaski,* lecz istnieją także *prawa ludu z Bożej łaski,* których bronić jest naszym obowiązkiem, a w spełnianiu tego obowiązku *znajdziecie nas M. Panowie zawsze na posterunku.*“

Przemówienie to zaćmiło słabe, obowiązkowe elukubracye dwóch hakatystów pp. Grassmanna i Tiedemanna, którzy nie mogli znaleźć przekonywujących argumentów na usprawiedliwienie postępków bezprawnych i na oczyszczenie systemu pruskiego.

Do moralnego zwycięztwa Polaków przyłożyli rękę także wolnomyślny poseł Lenzmann i poseł *Roeren,* jedyny bodaj nasz przyjaciel pomiędzy centrowcami, jedyny, który nie wypiera się oficyalnie przychylności względem Polaków. Mówił on szczególnie o bojkocie wojskowym, wystąpił wymownie przeciw odebraniu prawa do jednorocznej służby młodzieży skazanej już surowo za tajne uczenie się literatury polskiej. Dziś gdy nawet zakazuje się młodzieży mówić po polsku w sieniach gimnazyalnych — mówił czyż można się dziwić, że pielęgnują ojczysty język między sobą. W postępowaniu ich nie było nic, co dowodziłoby zdrady stanu.

Na takie wywody odpowiada ława ministeryalna i hakata — milczeniem, bo jedno tylko dało-by się odrzec t. j. że racya stanu idzie przed sprawiedliwością, że jest to nieprawnem postępowaniem, nad wyraz surowem i okrutnem, które tłomaczy się tem, iż ci młodzi ludzie nie chcą być Prusakami....

Liche wywody ministra Gosslera wykazują, co za duch mieszka w piersiach pachołków tronu, milczenie junkrów mówi tomy o znikczemnieniu pojęć i apatyi.

Ta nieczułość, to milczenie dowodzą, że wrogie nam żywioły czują się pobite na głowę granitowymi przykładami bezprawia, ale pewne siebie pod skrzydłami systemu pruskiego. System, który poczytuje nienawiść do Polaków za kardynalną, najważniejszą właściwość urzędnika w Księstwie, z góry daje absolucyą za wszelkie wybryki hakaty. Wiedzą to junkrzy i milcząc przyzwalają na gospodarkę pruską.

Polacy odnieśli znowu niemałe *moralne zwycięztwo.* Tylko moralne? — zapyta niejeden. Niestety, na razie nie możemy marzyć o innem. Ale *więcej takich moralnych zwycięztw!*

Lector.

Wymowne przestrogi.

Przed sądem w *Lesznie* rozegrał się przed kilku tygodniami proces, w którym kapłan Polak bronić się musiał przed strasznym zarzutem krzywoprzysięstwa. Proces wykazał zupełną jego niewinność jaka atoli boleść szarpać musiała pod grozą tego oskarżenia duszę i serce jego, to snadnie odczuje każdy, kto ma świadomość tego, jakim okropnym ciosem jest już sam taki zarzut dla — kapłana. Jeszcze zaś nie ucichło echo tego procesu, gdy gazety doniosły o pewnej brutalnej napaści na innego księdza polskiego w *szkole.*

W obu wypadkach motywem kierującym była niechęć i nienawiść jednostek z sfery nauczycielskiej do polskich księży. W obu wypadkach cios na kapłana padł **z ręki nauczycieli *polskiego* pochodzenia względnie z ręki *członka* polskiej rodziny nauczycielskiej..**

Nie będziemy się tu dziś rozwodzili obszernie o obu tych wypadkach. Oby jaknajrychlej poszły w zapomnienie! Wskażemy jedynie na to, jak strasznie wymowną przestrogę zawierają dla społeczeństwa naszego zwłaszcza zaś dla *polskich rodziców.* Nie były one zresztą pierwszemi w swoim rodzaju, a niestety obawiać się trzeba, że nie będą także ostatniemi. Wysnujmy więc znów wnioski, jakie gwałtem niemal się same nasuwają.

Dalecy jesteśmy od uogólniania tego rodzaju wypadków na całą sferę nauczycieli. Wiemy dobrze, że między nauczycielami polskimi, którzy jeszcze pełnią, bo pełnić muszą strasznie ciężką służbę przy szkołach *germanizacyjnych*, jest dużo, bardzo dużo mężów zacnych czystych jak łza, „bolejących wraz z nami nad niedolą naszą.“ Wypadki takie wykazują atoli dowodnie, że obecny system antipolski nie oddziałał na żadną sferę społeczną tak *demoralizująco,* jak właśnie na sferę nauczycielską. System ten zmusza nauczycieli polskich do pogwałcenia własnego sumienia, do wypierania się najdroższych uczuć i najmilszych myśli, do pracy i dążności, sprzeciwiających się ich *przekonaniu i pojmowaniu szczytnych obowiązków nauczycieli.* Z jednej strony wisi nad nimi bezustanna kontrola i możliżliwość utraty posady i chleba w razie nie spełnienia arcytrudnych zleceń i ukazów — z drugiej wabią ich dodatki do pensyi i hojne nagrody. Żąda się od nich, aby niemczyli nie tylko cudze, lecz i własne dzieci, aby poniżali przyszłość własnego narodu, wszczepiali w młodociane dusze nienawiść do tego, co dziadom i ojcom było nad wszystko *święte i drogie.*

W takiem położeniu ostać się mogą jedynie *bardzo silne charaktery i natury — słabsze muszą upaść,* muszą uledz rozkładowi uczuć i przekonań — który wiecznie prowadzi do takich ot wypadków, jak wspomniane na wstępie.

Więcej o tem pisać nie możemy, lecz to też wystarcza chyba. Mądremu dość na słowie.

A teraz wniosek z takiego stanu rzeczy: *Rodzice polscy, za żadne widoki i obietnice nie poświęcajcie dziś synów waszych zawodowi nauczycielskiemu, bo doczekacie się*

jedynie zmartwienia i zgryzoty, jeśli nie czegoś gorszego jeszcze!

Wobec dzisiejszego systemu antipolskiego *Polak nie może być nauczycielem w pruskiej służbie*. Ci, którzy jeszcze dzierżą posady nauczycielskie, muszą naturalnie wytrwać na nich, bo ubogie społeczeństwo nasze nie może im *wszystkim* dać innego utrzymania i zajęcia. Nad tymi niechże czuwa Opatrzność Bozka. *Ale nie pomnażajmy tych najnieszczęśliwszych ofiar polityki antypolskiej!*

Nauczyciel w polskich stronach pod rządem pruskim nie może być dziś wychowawcą, lecz musi być tylko *germanizatorem*. Czyż zadanie to spełniać mają *synowie nasi?* Przenigdy! Nie mamy wprawdzie wielkiego wyboru zawodów i źródeł zarobkowania, ale mimo to nie godzi nam się wyciągać ręki po takie stanowisko, po taki dławiący nas formalnie kawałek chleba. Niechże germanizatorską „misyą" spełniają u nas *Niemcy*. Polak nauczyciel i tak nie może być litościwszym od nich i wyrozumialszym dla polskich dzieci, bo za to czekałaby go zaraz dymisya. Nic więc dla nich uczynić nie zdoła, niech więc nie marnuje życia i sił swoich w takiej służbie. Jeszcze przy dobrej woli każdy z nas znajdzie utrzymanie w innej dziedzinie. Jeszcze nie potrzebujemy okupywać chleba naszego upokorzeniem i zaparciem się samych siebie, politycznem i narodowem odstępstwem. Nie sięgajmy po te cierniowe posady!

Nauczyciele polscy byli i są dotychczas *jedyną* jeszcze *spójnią*, łączącą ludność naszą ze szkołą — po za *przymusem poddańczym*. W dzisiejszem naszem położeniu spójnia ta atoli *na złe tylko nam wychodzi*, bo pomnaża jedynie wpływ i znaczenie wrogiej nam szkoły.

Gdy tedy spójnia ta zniknie, gdy w *każdej* szkole uczyć będą ludzie nam *obcy* duchem i językiem, wpływ jej na dziatwę naszą, jeszcze *zmaleje* i nic szkoły z nami łączyć nie będzie, krom *przymusu*. Wzmoże się przez to pewnie na chwilę utrapienie dzieci naszych, ale i w tem nic złego. Niechże zawczasu hartują się w nieszczęściu i cierpieniu.

A więc rodzice polscy — *pod żadnym warunkiem* nie oddawajcie synów waszych do *seminaryów nauczycielskich*, nie oddawajcie ich w służbę — *wrogą dla naszego narodu, dla naszej dziatwy, dla serdecznych uczuć naszych!!*

Czujny.

LISTY z Prus Zachodnich.

Sejmik toruński. III.

Wskazaliśmy na to, że od walki kulturnej, a raczej bismarkowskich policyjnych prześladowań Sejmik swe piękne zadanie co raz więcej tracił z przed oczu. W społeczeństwie religijne i narodowe uczucia przez walkę kulturną wyrosły, ale praca społeczna, wyrobienie się społeczne ludności zachodniopruskiej zapadły znowu w dawną nicość.

A właśnie po wojnie francuzkiej była pora siewu. Bo zwiększały się zarobki ludu a warstwy średnie i wogóle wszystkie te czynniki, które korzystać mogły z wzmagającego się bogactwa potężnych Niemiec, poczęły się raptownie rozwijać.

Walka kulturna urobiła umysły i charaktery do tyla, że były chętne pójść za każdym przewodnikiem, któryby wskazywał im cele społeczne. Zrozumiano to w Księstwie Poznańskiem i umiano skorzystać, w Prusach Zach. może także zrozumiano, ale przeciwności ulękli się wodzireje. Tu jedyną instytucyą, z której wychodzić mogły stósowne hasła, był Sejmik w Toruniu. Kierownicy jego poszli niestety w fałszywym kierunku. Zamiast ku szerszym warstwom się zwrócić, pozostali sam na sam w swojem kole, zamiast się rozszerzać, poczęli się zasklepiać.

Właśnie podczas walki kulturnej rozwinęło Księztwo Poznańskie swą organizacyą stowarzyszania się rolników, pod wodzą patrona Jackowskiego. W tym samym czasie powstały w Księstwie nasze spółki pożyczkowe i rozwijały się do potęgi. A Księstwo nie miało i nie ma takiej instytucyi, która jak „Sejmik" żadnym szematyzmem niezwiązana, była ogniskiem zawsze gotowem, aby organizować wszelkiego kierunku pracę społeczną.

Sprawiedliwość każe przyznać, że policyjne prześladowania rządu srożyły się w Prusach Zachodnich mocniej niż w Księstwie. Żaden podobnie zbyt słynny komisarz policyjny jak Rex w Toruniu nie dławił Księstwa Poznańskiego. Następnie — i w tem leży może główny powód zastoju, powód, który w Księstwie Poznańskiem uczuć się nie dawał w tej mierze — koło obywateli z większej własności zmniejszało się szybko.

Ale byli przecież księża i inteligencya świecka i wielu dzielnych ludzi na posiadłości średniej. Doprawdy, zachodniopruskie rody nie przyniosłyby najmniejszej ujmy pamięci przodków swoich, gdyby nawiązały serdeczne stosunki z kołami inteligencyi po wsiach i miastach.

Że tego nie zrobiły, to błąd jeden, a że wyłącznością swoją, wymagającym się kultem osób i rodzin podrażniły tych wszystkich innych, którzy w ten sposób czuli się pogardzonymi, to mianowicie w czasie rozwijających się walk klasowych stało się drugim wielkim błędem. —

Staroszlachecczyzna zgrzeszyła znowu pychą czy opieszałością. Niemiecka pycha jest brzydszą, ale dla potęgi Niemiec mało szkodliwą; nasza zaś polska pycha, nie tak brzydko pachnie, lecz szkodzi w naszych stosunkach bezmiernie. W Księstwie Poznańskiem jest więcej siły żywotnej w czystej polszczyźnie, a znaczną liczbą inteligentnych osób zapełnia się luki i łatwiej naprawia błędy. Inaczej w Prusach Zachodnich. Tu inteligencyi mało, więc wyłączność kastowa przodującej warstwy, która tradycyą społecznych praw i pracy posiadała, musiała z natury rzeczy na rozwój społeczny Prus Zachodnich jak najfatalniej oddziałać.

Gdyby po świetnym swym początku Sejmik podczas prześladowań bismarkowskich był się rozwiązał, byliby bezwątpienia nowi powstali ludzie i zapoczątkowali w tym lub owym kierunku nową erę. I tacy ludzie zaczęli też w Prusach Zachodnich na własną rękę powstawać, ale po latach wielu i sporadycznie i bez ścisłej spójni z resztą społeczeństwa. Ci, którzy tradycyą mieli pracy społecznej i praw społecznych, grupowali się około Sejmiku a swą wyłącznością odstraszali wszystkich.

Przez swój organ, „Gazetę Toruńską," oznajmiali nam, że ten i ów z bractwa to i owo zdziałał i zresztą traktowało się Prusy Zachodnie jako ten biedny nieszczęśliwy kraj, który za osobnem zrządzeniem opatrzności ma owe cudowne bractwo, bo inaczej zginąć by musiał. Na mocy swego prawa z bożej łaski bractwo uczuwało się upoważnianem do zastępowania Prus Zachodnich w każdej doli, a już z osobną przyjemnością jeździło na uroczystości narodowe wszelkiego rodzaju i z schylonem czołem przyjmowało słowa uznania dla obywatelskiej niestrudzonej pracy.

W fatalnem ci panowie bywali położeniu, jeżeli który z ich krewnych nie chciał przyjąć na siebie jakiegoś zadania. Co my zrobimy? Jeżeli nie jeden z nich — choćby czasami zupełnie niestosowny! — to któż? Mo-

łna się wreszcie tego i owego spytać, ale co to za ludzie!

W taki sposób wyrabiał się w Prusach Zachodnich dogmat wiary, że jest bractwo koryfeuszy, które jest jedynie uprawnione do społecznego i politycznego myślenia. Ale na dnie duszy pracowało przekonanie, że tak nie jest i być nie powinno, a choć brak społecznego usposobienia nie pozwalał wystąpić z krytyką publicznie, był żal i gorżał i dymił szczelinami.

W tej chwili, gdy stoimy przed wyborami do parlamentu, podpada w całej Polsce brak politycznego wyrobienia w Prusach Zachodnich. Wyborcy zgadzają się bezwzględnie na każdego kandydata, który się wysunie na widownię i porwie umysły. Jest to zjawisko zupełnie naturalne.

Prusy królewskie przez kilku obywateli ze snu zbudzone, mogły tylko przez dalszą pracę budzenia i przyciągania coraz szerszego koła pracowników dojść do pełnego i normalnego rozwoju. Rozumiał to Ignacy Łyskowski. I dla tego wymyślił Sejmik i dla tego dał mu organizacyą żadnym szematyzmem nie związaną, zadanie rozszerzył na wszystkie wogóle kierunki gospodarskiej pracy i wymówił sobie, aby nie było żadnych koteryi i zakątkowości.

Jednakowoż zwyciężyła staroszlacheczczyzna i jest to zupełnie zrozumiałem, że zwyciężyła, bo tacy jak Ignacy Łyskowski są wyjątkowymi ludźmi.

Warstwa, kasta, zawsze idzie swoją drogą tradycyonalną, póki jej rozwój wypadków lub znakomici ludzie z niej nie sprowadzą. Ignacy Łyskowski dokazał tego tylko na chwilę. Nie jest to łatwem dostósowywać się do nowych stosunków społecznego rozwoju.

Każda warstwa ma swe pojęcia odrębne, swe zalety i błędy. Dobre, najwyższego szacunku godne, dobre chęci zachodniopruskich obywateli na większej własności, rozpryskiwały się o twardą rzeczywistość nowych pojęć i warunków życia. Okazało się nie raz i nie przy jednej instytucyi przez tych obywateli dla dobra ogólnego ufundowanej, że fantazya rycerska po przodkach przejęta jest dzisiaj niepraktyczną. A oni jednak inaczej działać nie mogli, nie umieli. Dusza wyrabia się powoli i przez gieneracye.

Bank toruński n. p. wybudował gmach tak wielki, jakoby z Indyami Wschodniemi także stosunki chciał zawiązywać. Towarzystwo naukowe utworzono jakoby nową Akademią Nauk i podzielono na różne wydziały, do których brakło i braknie ludzi odpowiednich dziś jeszcze. Reformę tego towarzystwa przeprowadzono zaś przed kilku laty zupełnie łatwo na tej zasadzie, że oprócz 70 obywateli i ich znajomych jest przecież wiele innych osób w Prusach Zachodnich, które tak samo rozumieją się na wartości nauki jak owi obywatele. I nagle, w dwóch latach, podskoczyła liczba członków towarzystwa naukowego w Toruniu z — 70 na 430.

Czy z Sejmikiem będzie w inny sposób podobnie? Czy i on zrozumie, że i dzisiaj potrzeba Prusom Zachodnim instytucyi, któraby wszystkie warstwy i wszystkie rodzaje gospodarczej pracy łączyła, że dzisiaj potrzeba raczej takiej instytucyi *więcej* jeszcze niż w r. 1867, bo exkluzywność Sejmiku, bo wyłącznie garść obywateli z monopolem społecznej i narodowej pracy niekorzystnie oddziałała na rozwój społeczny i polityczny Prus królewskich? Wszakże widzimy wszyscy zacofanie nasze i samoistne panowanie sprężystych jednostek grożących wszystkim!

Antyszlacheczczyzna jest i musi powstać prędzej czy później w najdalszym zakątku dawnej Polski w naturalnym rozwoju stosunków jako walka o równouprawnienie społeczne.

Ale w Prusach Zachodnich występuje dziś ta walka z zdwojoną siłą i nabrała osobnego zabarwienia. Obywatele ziemscy grupowali się w wielkiej części około Sejmiku, a tam splendory i exkluzywności — właśnie to co najbardziej dzisiaj drażni i drażnić musi. Bo w dzisiejszym ustroju społecznym każdy czuje do głębi swoje równouprawnienie i przeciwny jest wszelkiemu wywyższaniu się kasty. W Prusach Zachodnich nadto i przeciętny umysł wyrozumie, że łączenie się szerokich kół jest warunkiem przyszłości Prus królewskich.

Przed dwoma laty spróbował tedy pewien obywatel z Torunia zwrócić Sejmik do dawnej żywotnej pracy, a mianowicie do podjęcia na nowo organizowania pracy gospodarskiej, a mianowicie starań około zakładania kółek rólniczych. I zdawało się, że próba się udaje. Uchwalono bowiem jednomyślnie utworzenie Towarzystwa Centralnego Gospodarczego na Prusy Zachodnie. Ale mimo to rzecz zepsuto w zarodku.

Wybrana bowiem ad hoc komisya miała zwołać delegatów towarzystw rolniczych, kooptować przyjaciół rolnictwa i wpływowe osobistości Prus Zachodnich i na takim wiecu rzecz ułożyć. Tymczasem urządzono się wręcz przeciwnie.

Komisya zawiązała się zaraz w towarzystwo i wydała między siebie urzęda i wezwała Prusy Zachodnie, aby się do towarzystwa przyłączyły. Naturalna rzecz, że w ten sposób potrzebnego entuzyazmu nie wywołano i Prus Zachodnich nie poruszono. Założono kilka kółek, ale gdy zapęd był mały to i siły nie dopisały i teraz sen skleja powieki towarzystwu.

Dziś trzeba ponownie stanąć przed Sejmikiem i próbę ponowić i rozszerzyć. Mamy nadzieję, że i dzisiaj będzie jednomyślność w dobrem. Trzeba będzie wskazać na istotę i cel Sejmiku, i wykazać potrzebę, aby Sejmik de facto stał się areną pracy dla szerokich warstw społecznych.

Dzisiaj przyznają chyba wszyscy, że potrzeba nam łączności, aby stosunki chore uzdrowić.

Nie wolno w zachodniopruskich stosunkach wyłączać się jednej warstwie. Sejmik dla wszystkich warstw ustanowiony. Nie starczy, że gospodarze po za Sejmikiem do wszelkich możliwych prac należą, skromni są i świecą przykładem znakomitym, jakiego tysiące niestety nie naśladują. W tem rzecz, aby otworzyli Sejmik, jedyną instytucyą, która nas łączyć może wszystkich, dla wszystkich. Żądamy od nich, aby zrobili krok niełatwy może, ale sprawiedliwością nakazany i w stosunkach, jakie się wyrobiły, konieczny i niewątpliwie zbawienny, — aby w Sejmiku połączyli całe Prusy Zachodnie do wspólnej pracy.

Niechaj okażą, że umieją przeszłość z obecnym czasem połączyć, przejście do rozwijającego się ducha przyszłego czasu ustanowić. Niechaj myśl Łyskowskiego podjąwszy w ten sposób go przewyższą. Wtedy okryją siebie i szlachtę polską prawdziwą chwałą.

My wszyscy będziemy w tem dziele pomocni i — ogromnie je ułatwimy. Bo nam tylko potrzeba *zachęty, poczciwego zbliżenia się,* dla wielu nawet *ośmielenia,* abyśmy ogromne siły nasze stósownie rozwinęli.

Inaczej też będzie wyglądała owa sala Muzeum w Toruniu, a raczej wystarczać nie będzie, gdy inteligencya duchowna i świecka, gdy średnia posiadłość jako równouprawnione zjeżdżać będą faktycznie na doroczne posiedzenia! Gospodarze sejmikowi uszczęśliwieni będą, gdy szerokie pole działania otworzy się przed nimi, przed nami wszystkimi i zdrowie tryskać będzie z społeczeństwa, jak z rumianej twarzy rólnika.

W jaki sposób przeobrażenie to ma nastąpić — niechaj sobie każden do 17-go lutego w swej duszy rozważy.

Na posiedzenie Sejmiku zaś zjedźmy się licznie, aby sprawę tę wielką

poruszyć i obradzić. Niechaj przyjeżdża każden, komu przyszłość Zachodnich Prus miła, bo żaden zachodnioprusak na „Sejmiku“ nie jest *gościem*, ale równouprawnionym członkiem.

Konrad.

Z TYGODNIA.

Po wielkich debatach o polityce zewnętrznej Niemiec i o mowach cesarskich *parlament niemiecki* przeszedł do rzeczowych obrad nad budżetem przyszłorocznym, z których wyrwała go na chwilę *interpelacya polska.* Piszemy o niej obszernie na innem miejscu. Nawet wielka „awantura“ z hr. *Ballestrem'em* skończyła się pokojowo. Na czwartkowem posiedzeniu parlament wybrał go ponownie marszałkiem. Poprzednio zaś już nagrodził go cesarz za „energię“ okazaną wobec mówcy socyalno-demokratycznego — godnością *dziedzicznego członka pruskiej Izby panów.* O ile atoli pod tym względem hrabia „wyszedł dobrze“ na owej awanturze, o tyle w parlamencie znaczenie jego znacznie już się obniżyło. Nietylko, że wybrano go tym razem tylko dwiema trzeciemi głosów, a nie *jednogłośnie*, jak poprzednim razem, ale i w stronnictwach większości nie tajono się z tem bynajmniej, że ponowny jego wybór jest tylko *grzecznością* i uznaniem *za dawne* zasługi. *Wolnomyślni, Polacy i socyalni demokraci* oddali *białe* kartki, a jeden z posłów napisał na swej kartce nazwisko osławionego *Ahlwardta.* Widocznie pragnął tem *napiętnować tę całą komedyą* i to mu się też powiodło.

W *sejmie pruskim* również w ubiegłym tygodniu radzono spokojnie nad budżetem.

Sprawa *wenezuelska,* która groziła już z powodu zbombardowania fortu San Carlos przez flotę niemiecką, poważnemi następstwami, znów przybrała bardziej pokojową formę. Zawdzięczać to należy głównie rządowi angielskiemu. Obecnie toczą się w dalszym ciągu układy pokojowe. I zapewne byłyby już doprowadziły do zawarcia pokoju, gdyby Niemcy nie przeszkadzały temu żądaniem, aby ich pretensye, oraz pretensye Anglii i Włoch traktowano inaczej, niż pretensye innych państw. Bądź jak bądź, nawet w Niemczech panuje już ogólne mniemanie, że sprawa ta skończy się *ciężką porażką rządu niemieckiego,* a co jeszcze gorsze, że pozbawi ich wszelkiej sympatyi w *Anglii* i *Ameryce,* a nadto *grubo kosztować będzie.* Aby naprawić znów stosunki między *Niemcami a Ameryką północną,* zamierza cesarz Wilhelm wysłać na odsłonięcie pomnika Fryderyka II. we West Point — znanego marszałka hr. *Waldersee,* „pogromcę Chinczyków.“ W kołach dworskich jednakże nie zazdroszczą tej misyi sędziwemu marszałkowi, gdyż może się ona stać bardziej *przykrą* — niż zaszczytną.

Inna jeszcze sprawa trapi dziś opinią niemiecką. Zarówno *Austrya* jak i *Rosya* odpowiedziały już na taryfę celną niemiecką nowemi *własnemi* taryfami, które zawierają znacznie wyższe niż dotychczas cła na *wyroby niemieckie* i grożą niektórym gałęziom przemysłu niemieckiego znacznemi stratami. Jeżli więc w układach co do nowych *traktatów* z temi państwami nie powiedzie się uzyskać z ich strony znaczniejszych ustępstw, przemysł niemiecki w przyszłości „cienko śpiewać będzie.“

Koło polskie w Austryi pochlubić się może bardzo pięknym *sukcesem.* Stanowczą swą postawą zdołało rzeczywiście wywalczyć w sprawie *cukrowej kontyngent, odpowiadający w przybliżeniu konsumcyi krajowej.* Sukces ten ocali cukrownictwo galicyjskie, a przekonać powinien Koło, że *energią i stanowczością,* dużo w Wiedniu dla Galicyi zdziałać może.

We *Francyi* chwieje się na dobre gabinet *„pana“ Combesa* — ale z przyczyny, której przed tygodniem nikt jeszcze nic przewidywał. Zdaje się, że ten „eks-ksiądz“ i wróg kościoła jednak uczuł w duszy pewne skrupuły, ażali nie za bardzo już pofolgował swej nienawiści do religii i kościoła. Niespodziewanie bowiem bardzo energicznie oparł się żądaniu socyalnych demokratów, aby Francya zerwała *konkordat* z stolicą apostolską, cofnęła wszelkie zapomogi, płacone szkołom zakonnym w Turcyi i w innych pogańskich krajach i ostrzej jeszcze gnębiła kościół — przyczem oświadczył, że *„idee religijne uważa jeszcze za potrzebne dla ludzkości.“*

To częściowe nawrócenie się zaciętego Szawla bardzo zraziło do niego socyalistów oraz radykałów francuzkich. Zganili mu to też zaraz a swoją drogą zaczęli na dobre kopać dołki pod jego gabinetem. I kto wie, czy Combes nie padnie z ręki tych, którym dotychczas *przewodził* w walce z religią i kościołem. Nie jego pierwszego los taki by spotkał.

Smutne wieści nadchodzą z Rosyi. Zanosi się tam podobno na prześladowanie jednego z najdzielniejszych biskupów ks. Jaczewskiego w Lublinie, za to tylko, że nie chce [illegible] na naukę religii w szkołach [illegible] rosyjskim. Miejmy jednak nadzieję, że ten kielich goryczy odwrócony zostanie od nas i od czcigodnego Biskupa.

W sejmie pruskim odezwą się rychło już zwykłe coroczne debaty nad sprawami naszemi przy poszczególnych pozycyach etatu. Oby były dla nas takim samym moralnym *tryumfem,* jak ta ostatnia debata polska *w parlamencie!*

K. O.

Przegląd prasy.

Niejasna dotąd *sprawa kandydatur* przy przyszłych wyborach do parlamentu — które odbędą się w maju o ile wiadomo — żywo interesuje prasę. Poruszył ją *„Dzien. Pozn.“* podnosząc, że dotychczas zrzekli się swych mandatów ks. prał. Jażdżewski, ks. kanonik Neubauer, W. Jerzykiewicz i świeżo dr. Roman Komierowski. Krążą pogłoski o ustąpieniu niektórych innych posłów i o projektach zamiany obecnych swych okręgów wyborczych na inne ze strony niektórych posłów. Równocześnie pojawił się szereg nazwisk *nowych kandydatów.* Wiadomo, że p. red. Kulerski kandyduje w dwóch okręgach pruskich i zdaje się mieć mandat zapewniony. Dalej wysunięto kandydaturę pana Górskiego z Mirotek pod Starogardem w Prusach Zach., lecz na wiecu w Kościerzynie uchwalono jednogłośnie postawić na pierwszem miejscu kandydaturę p. Leona Czarlińskiego. Co się tyczy nowych kandydatów w W. Księstwie Poznańskiem „Kraj“ petersburski, a za nim *„Dzien. Pozn.“* wymienił jako kandydatów p. mec. Trąmpczyńskiego, dra Niegolewskiego i dra W. Skarżyńskiego. Dawniej zaś wzmiankowały pisma o hr. Macieju Mielżyńskim z Chobienic jako przyszłym pośle i kandydatura ta zdaje się być nader popularną. Oświadczył się za nią „Orędownik“ i niezawodnie przyklasną jej inne organy.

Pisząc o „kandydatach przyszłości“ *„Dzien. Pozn.“* wypowiada takie zdania:

„Jak w tym wypadku zrobiliśmy, tak zrobilibyśmy w każdym innym, gdyby nam proponowano nowe siły godne, czyste, umiejące mieć własne zdanie, posiadające odwagę cywilną, zacięcie odpowiednie, a przedewszystkiem *miłość do ludu jako całości*, a nie jako do organu bojkotowania całych sfer społeczeństwa, zasłużonych i nieposzlakowanych w swej całości.

„Te organa opinii, które całe szczęście widzą w mężach przyszłości ze stanów średnich — a te i my szanujemy całem sercem — niech zechcą zwrócić uwagę na [illegible], co i te sfery tyczy porówno z innemi, jak się świe-

żo pokazało, a wziąwszy to na uwagę, może zechcą stanąć na szerszem stanowisku. Pospolicie mówią: tam kulas jak i u nas. Więc nikt nie ma prawa wynosić się nad drugich, ani dla tego, że szlachcic, ani dla tego, że wychodzi ze stanu średniego lub ludu. *Osobista dzielność, nauka, doświadczenie, powaga, to patenta prawdziwie nieomylne dla kandydatów poselskich przyszłości.*"

Z powodu kandydatury pana Górskiego z Mirotek opublikowała *„Gaz. Tor.“* ciekawy list, którego autor ubolewa nad tem, że „z pośród mniejszych i średnich rolników (w Prusach Zach.) energiczniejsze jednostki wybijające się mieniem i wykształceniem nad poziom rwały się do pracy dla naszej polskiej sprawy, a potem stygnąc stopniowo wycofały się ze stosunków z „Polakami,“ a dzieci ich przechodziły do obozu niemieckiego. Tłomaczy się to kastowością. Polacy odstręczali te jednostki, a Niemcy przyciągali.

„Zanim powstała komisya kolonizacyjna — czytamy w *„Gaz. Tor.“* — nasza pyszałkowatość, nasza wyniosłość wobec wybijających się jednostek pozbawiała nas nie tylko ziemi, lecz także — i to stokroć większa strata — ludzi najenergiczniejszych.

„Czas byłby upamiętać się nareszcie!“

Ostatnia mowa ks. *prał. Jażdżewskiego* a zwłaszcza atak jego na prasę polską wywołała oburzenie nawet po za kordonem. *„Kur. Warsz.“ wystąpił* przeciw niej w bardzo ostrych słowach i między innemi tak pisze:

„Dyplomata, wyrażający publicznie przekonania, że artykuły gazet polskich mogły wywołać hakatyzm rządowy, że gdyby ton dzienników ludowych był inny, to państwo pruskie wyrzekłoby się polityki antypolskiej, to, zaiste, zdumiewający okaz rozumu politycznego.

„Ale mniejsza już o absurd tego twierdzenia, którem niezawodnie ministrowie pruscy serdecznie się ubawili.

„Jakież to winy zarzuca ksiądz prałat poseł Jażdżewski prasie poznańskiej? Jej „zaczepki, skierowane przeciw ustawom państwowym i poszczególnym członkom rządu“, a innemi słowy znaczy to: „Chciałbym, aby prasa poznańska była tak słodka, cicha i pokorna, jak my, posłowie.“ Zdaje mi się jednak, że o wiele słuszniejszem jest rozbrzmiewające coraz silniej w społeczeństwie poznańskiem hasło wyborcze: „Wybierajmy takich posłów, którzyby zamiast miękkich półsłówek, znaleźli dźwięki silne i bezwzględne.“

Wiec w Inowrocławiu nastręczył prasie materyału do różnych, niepochlebnych uwag. *„Dziennik Berliński“* z oburzeniem podnosi, że fundusz wyborczy w powiecie inowrocławskim wynosi tylko *5 mrk. 75 fen. A „Dzien. Pozn.“* wyciąga z tego wniosek, że „sfery ludowe bardzo chętnie [illegible] przyjmują kierunek [illegible] spraw, ale się nie poczuwają do płacenia kosztów kierowania.“

Uświadomianie polityczne szerokich kół wyborczych u nas nie jest na ogół biorąc wcale wielkiem. *„Gaz. Gdańska“* utyskuje, że w Gdańsku i okolicy lud nosi cechy „zaniedbania przez starszych braci“ i stąd wielu Polaków tkwi w niemiecko-katolickich albo socyalistycznych towarzystwach. Zdarza się, że nawet Polacy z krwi i kości głosują na konserwatystów niemieckich!

„Gdy takie się widzi kwiatki kultury polskiej w Gdańsku — pisze *„Gazeta Gdańska“* — podnieść raz jeszcze musimy słuszność projektu jednego z robotników gdańskich na zebraniu przedwyborczem, ażeby robotnicy zbierali się co tydzień lub przynajmniej co miesiąc na wspólne pogadanki i wykłady o sprawach politycznych i społecznych.“

Nowy projektowany *podział komisyi kolonizacyjnej* — jak stwierdza *„Dzien. Pozn.“* — nie przypada do gustu wszystkim hakatystom.

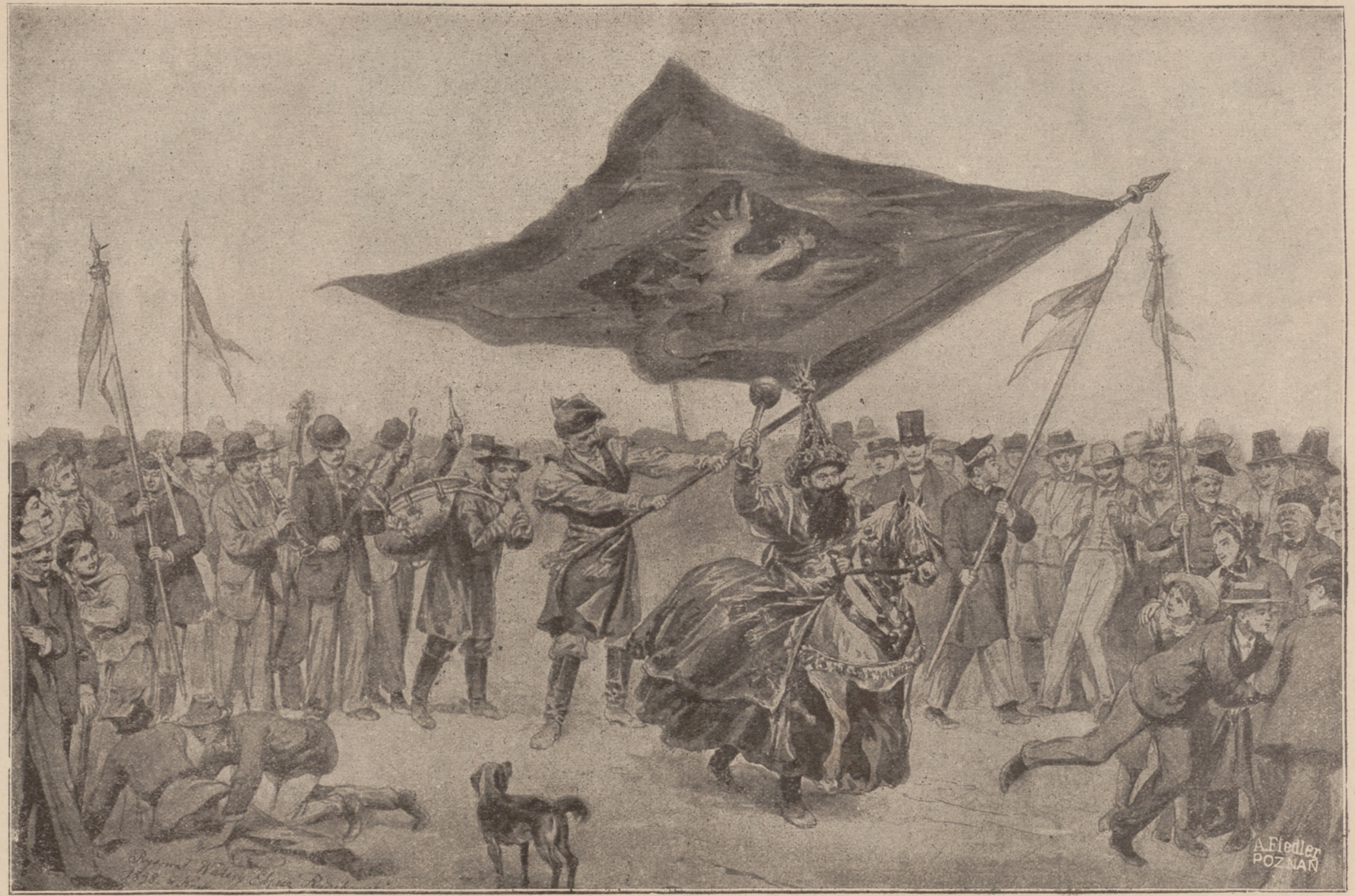
„Przyznają oni, że procedura kolonizacyi jest biurokratycznie ociężała. Dziwna rzecz, że ten sam zarzut z polskiej strony spotyka niektóre banki polskie, chociaż Niemcy twierdzą, że banki te, wolne od „wszelkiego“ przymusu, skutkiem swego pospiechu niejeden interes zabrały kolonizacyi. To też główny organ hakatyzmu w Poznaniu, zamiast podziału, wolałby, żeby komisyą zwolniono z uciążliwego nadzoru ministra, to jest, żeby komisya swobodnie i samowładnie sprawy rozstrzygać mogła. Naturalnie! toby było bardzo wygodnem dla pewnych egzystencyi, osłabionych na targu agrarności niemieckiej. Podział zas, jak się obawiają, wywołałby jeszcze żywszą spekulacyę między uciśnioną niemczyzną. Dziś podnoszą się ceny przez rzekomą konkurencyę polskich banków lub Polaków wogóle. Podział sprawiłby to, że urządzonoby formalne licytacye między siostrzycami kolonizacyjnemi.“

Bardzo ważną sprawę poruszył *„Postęp“* — sprawę tak z. w. Volksunterhaltungsabend'ów, czy *wieczornic dla ludu*, które Niemcy urządzają w wsiach czysto polskich naturalnie w celu niemczenia. „A lud polski przybywa na te wieczory bardzo tłumnie“. Urządzanie tych wieczorów jest popierane obficie z funduszów antypolskich a nauczyciel urządzający je zaskarbia sobie wobec władzy uznanie, objawiające się w brzęczącej monecie.

„Dobrze byłoby — czytamy w *Postępie* — urządzać w takich wsiach lub w pobliskich, gdzie owe wieczory się odbywają, wiece polskie, na których lud usłyszałby coś o naszych sprawach narodowych, o naszem smutnem położeniu, o całej polityce germanizacyjnej itd. Niechże lud zamiast pójść na taki wieczór zaśpiewa sobie w domu pieśń polską nabożną, lub jaką śpiewkę światową polską, tak jak to dawniej bywało po rodzinach polskiego ludu.“

Potrzebne są wiece, ale naszem zdaniem trzeba by klin wybić klinem i urządzać *wieczornice polskie* tak, by lud nie szukał rozrywki w towarzystwie Niemców. Myśl tę powinny poruszyć nasze gazety ludowe i doprowadzić do praktycznego przeciwdziałania germanizacyi za pomocą zabawy.

B. M.



Konik Zwierzyniecki.

Album „Pracy“ Rysował Walery Eliasz Radzikowski. Drukiem „Pracy“

Dział illustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON*)

Radom.

(Do illustracyi.)

Rzadko, bardzo rzadko, spotkać można tak mało śladów wieków ubiegłych, jak w Radomiu. Nawet stare pokolenia tutejsze wymarły doszczętnie, a ci nowi przybysze wnieśli też i nowe drogi życia: handel, przemysł, który w imię dorobku zaciera ślady przeszłości, by na jej gruzach stawić fundament nowego gmachu. Może to i lepiej .. ale nie mnie sądzić o tem! Pozwól tylko Czytelniku, że nim rozwinę krótki rys dziejów tego miasta, wypowiem spostrzeżenie, cisnące mi się gwałtem pod pióro. Ów Radom dzisiejszy strasznie coś strojno, nawet kokietująco wygląda, przypomina mi kobietę, ani na chwilę nie zapominającą o tem, że zawsze starać się winna o przypodobanie — wreszcie nic dziwnego, że tu znać coś kobiecego. Kobiety w Radomiu od wieków prym



Kościół farny w Radomiu.

trzymały — toć to było jedyne miasto w kraju, gdzie kobieta miała prawo uwolnić skazanego na śmierć nawet, jednem słowem tylko, przyrzeczeniem, że weźmie ślub ze skazańcem, a kroniki zapisały kilka faktów takich. Katarzyna Kozłowska, naprzykład, w r. 1654 z pod miecza katowskiego wzięła za małżonka Józefa Konińskiego, a ślub bez zapowiedzi dano im natychmiast w kościele farnym.

W tem miejscu, gdzie dziś widzimy szybko w ostatnich czasach wzrastające miasto, nie mogło ono nie istnieć od wieków. To punkt, przez który biegły wszystkie gościńce handlowe. To też w r. 1154 już znajdujemy nazwę tego miasta, a żaden z królów Polski nie ominął progów tego grodu, choć jedni pobyt swój tu oblewali łzami smutku, inni używali owoców sławy, szczęścia i radości. Rok 1224 zapisał tu smutną historyę królowej Grzymisławy, wdowy po Leszku, która z Radomia wyjechawszy, zdradziecko porwana i uwięziona została w Czersku. Synowie Krzywoustego byli tu gośćmi częstymi. Piastowie zamek tu posiadali na wzgórzu, a ślady jego widnieją po dzień dzisiejszy w plebanii, która jest właśnie częścią owego zamku. Jan Kazimierz ufundował tu kościół św. Jana Chrzciciela, dziś już nie istniejący. Za panowania Jagiellonów Radom jaśniał bogactwem. Władysław Jagiełło bawił tu kilkakrotnie, polując w kniejach okolicznych. W r. 1389 królowa Jadwiga oczekiwała tu na przybycie swego małżonka. Królowa Zofia, ostatnia żona Jagiełły, chętnie tu zamieszkiwała. Królowa Elżbieta, żona Kazimierza Jagiellończyka, na tej ziemi radomskiej pieściła swe dziatki, które w koronach następnie szczęśliwie krajem rządziły. Tu też święty Kazimierz, królewicz, wiele swych chwil życia młodocianego spędził. Tu Władysław przyjmował koronę czeską z rąk posłów, tu swaty nadeszły z prośbą o rękę nadobnej Jadwigi Jagiellonki, której gody weselne przepychem świat zdumiły. W kościele farnym tutejszym Fryderyk Jagiellończyk ozdobiony został kapeluszem kardynalskim. Cóż więc dziwnego, że gród ten, jako wybraniec głów koronowanych, cieszył się dobrobytem?

Liczne zjazdy panów możnych



Ratusz w Radomiu.

podnosiły ten dobrobyt, a klęski kraj cały gnębiące, w Radomiu zaledwie echem się odbijały.

Radom, to ulubione miasto Zygmunta Starego i jego córki Izabeli, królowej węgierskiej. Lecz najpamiętniejszym jest rok 1548, gdy 18 września zjechała tu cudnej piękności Barbara, ukochana małżonka Zygmunta. Ów Radom zajaśniał wówczas szczytem szczęścia ludzkiego, bo gościł w swych murach parę królewską, dla której największem szczęściem była miłość wzajemna, owa miłość pary królewskiej, o której opis kusiły się najzdolniejsze pióra i najzdolniejsi artyści w sztuce malarskiej pragnęli uwiecznić to szczęście na płótnie, by je jako wzór potomstwu przekazać. Ulice wówczas zasłały się cennemi materyami, a przepych gościł od krańców do krańców miasta. Po czterech miesiącach pobytu w Radomiu, wyjechała piękna królowa, nie przewidując, że w trzy lata później powracać będzie przez to miasto, ale już w trumnie....

Od tej chwili Radom jakby przeznaczony został na miejsce smutku kró-



Towarzystwo kredytowe miejskie w Radomiu.

*) Zanim rozpoczniemy w dalszym ciągu zamieszczać w „Pracy“ „Malowniczy opis Wielkopolski“, damy Szanownym Czytelnikom malownicze opisy niektórych ważnych miejscowości w Królestwie Polskiem. Na razie zamieszczamy opis stolicy gubernii radomskiej, starożytnego i historycznego miasta Radomia, założonego w 1154-ym roku. — Przyp. Redakcyi.



Resursa obywatelska w Radomiu.

Zycie towarzyskie rozwinięte tu słabo; każdy żyje dla siebie, a chwast obmowy i plotek, oraz listów anonimowych tak się rozplenił, że mimowolnie historya Radomia ten fakt ujemny zaznaczyć musi.

lewskiego, bo wkrótce zamieszkała tu z rozkazu Zygmunta druga jego żona, znienawidzona Katarzyna Rakuska, która łzami zalała każdą stopę ziemi zamku królewskiego.

Dalej sławny Stefan Batory, Anna Jagiellonka, Wazowie gościli tutaj, a w r. 1656 zamieszkał chwilowo Karol Gustaw, król szwedzki w domu, który po dziś dzień istnieje, odznaczając się starożytną strukturą. W r. 1698 mury Radomia witały Augusta Sasa, przejeżdżającego do Warszawy.

Wydał też Radom kilku ludzi sławnych w historyi, Grzegorz i Klemens z Radomia już w r. 1397 byli bakałarzami w akademii praskiej. Tu się też urodził dr. Tytus Chałubiński.

Kościołów Radom ongi posiadał wiele: św. Piotra, św. Ducha, P. Maryi, św. Leonarda, OO. Bernardynów, Pijarów, pp. Benedyktynek, lecz dziś stoją tylko dwa, a i te w niczem nie przypominają budowy starożytnej. Obecnie dopiero, w miejscu nie zbyt fortunnie obranym, wznosi się piękny kościół nowy ze składek i ofiar dobrowolnych.

Ramy artykułu tego nie pozwalają nam przypomnieć wszystkich ważniejszych wypadków, jakie zanotowała historya tego miasta, a ponieważ i śladów nie wiele po nich zostało, przyjrzyjmy się temu, co dziś tu nowego widzimy. Budowli pięknych nie brak. Gmach ratusza, kasa przemysłowców, rząd gubernialny, wiele domów prywatnych — oto ozdoba miasta dzisiejszego. Sliczny park miejski wśród miasta, a dawny Hoffmanowej ręką do regulacyi planowany również są ozdobą tego grodu. Towarzystwo kredytowe Ziemskie, takież miejskie, wzajemnego kredytu, resursa z ładną, choć niewielką salką teatralną i bogatą biblioteką, stowarzyszenie śpiewacze, orkiestra amatorska, wreszcie doskonale zorganizowana straż ogniowa, stanowią dorobek czasów obecnych.

Szkół Radom posiada sporo: gimnazyum męskie i żeńskie, szkołę handlową siedmioklasową, szkoły początkowe męskie i żeńskie, pensyę prywatną, szpitale: katolicki i żydowski, kilkanaście garbarń, browarów i wiele innych zakładów przemysłowych.

Handel w czasie ostatnim podupadł nieco, z powodu przeniesienia biur zarządu kolejowego do Warszawy, a tem samem wyjazdu kilkuset rodzin z miasta, lecz kryzys ten minie wkrótce, bo Radom ma wiele warunków geograficznych ku temu, aby się rozwijał. Ostudziło to może tylko na czas dłuższy panującą tu gorączkę budowlaną i drożyznę komornego, co wreszcie na dobre miastu wyjdzie z czasem. W roku 1901 Radom otrzymał oświetlenie elektryczne, co również dodatnio wpłynęło na jego rozwój. Potrzeba jeszcze tylko, aby mieszkańcy usilnie postarali się o uregulowanie rzeki tutejszej, cuchnącej na kilka wiorst wokoło a mogli otrzymać zdrową wodę do picia, której tu brak zupełny powoduje wiele chorób epidemicznych.

Odrodzony zupełnie, przyobleczony w nową szatę, niechaj idzie po drodze nowej, niechaj zdobywa sławę i dobrobyt, jakim kwitnął niegdyś, by po kilku wiekach historyk znowu mógł zaznaczyć jego rozwój.

L. V. Jaques.

Mazurek zimowy.

Jaki ci siwy bór
Kiej Mazur — chłop w kożuchu,
Nie masz ci pawich piór
A czapka het na uchu.
Na wąsach osiadł śnieg,
We włosach białe pręgi,
A wschód w szkarłatny ścieg
U czapki wiąże wstęgi.

Taki-ci szary świat,
Jak szara ta siermięga,
Jak tych zagonów szmat,
Co w szare niebo sięga.
Taka-ci głębia ta
Zamglona, hen szeroka,
Że jeno mgła i mgła,
Choć, człeku, wykol oka.

Hej, huknie siwy bór
Kiej Mazur — zawierucha,
Jak snopy srebrnych piór
Wyrzuci czapkę z ucha!
Przytupnie z nogi — ha!
Uderzy się w ramiona
I pójdzie, gdzie ta mgła,
Gdzie praca nieskończona.

Hej, splunie w garść, co sił,
Opędzi się złej dumie
I będzie znowu żył,
Pokaże znów, co umie.
Jak wióry będą szły
Piór srebrnych całe kiście,
Aż drgną wśród srebrnej mgły
Wiosenne młode liście.

. . . . Kołysze się już bór,
Jak Mazur, chłop w kożuchu,
Pod strzechą siwych chmur
A czapka het na uchu,
Idzie jak setny chłop,
Przez bruzd tych znane drogi,
Zwołuje przez mgły: Hop!
A wrony — hajże z drogi!...

Bożydar.

Ślub królewski.

Wspomnienie historyczne.

Najnieszczęśliwszem dla Polski było panowanie Jana Kazimierza. Morze klęsk wylało się na kraj strapiony. Nieustanne wojny i idące wraz z wojną klęski pomoru i pożogi szerzyły zniszczenie powszechne. Naprożno król, szczerze Ojczyznę miłujący, i królowa Marya Ludwika, równą miłością ku Polsce przejęta, niewiasta dzielnego ducha i wielkiego rozumu, wszelkich dokładali starań, aby zażegnać ze wszech stron gromadzące się burze i rozpędzić piorunami ciężarne chmury. Srodze bolał Jan Kazimierz nad losem kraju. Większą część panowania swego przepędził jako żołnierz i tułacz po wszystkich stronach kraju. Z szablą w dłoni, nie szczędząc własnej osoby, nie unikając niebezpieczeństw, narażał on pierś własną nieje-



Ulica Lubelska w Radomiu.

dnokrotnie, na czele szeregów walczących w obronie Ojczyzny. Nie był to bohater — ale po bohatersku umiał znosić trudy wojenne i gorzkie panowania swojego losu.

Najstraszniejszą, bo najdłużej trwającą i najwięcej szerzącą zniszczenia na całym obszarze Wielko- i Małopolski, na Mazowszu i Rusi Czerwonej, była wojna szwedzka spowodowana najazdem Karola Gustawa, i przez lat sześć niemal z rozmaitem prowadzona szczęściem. Uchodzić przed najeźdźcą musiał Jan Kazimierz na Sląsk, i z rozdartem sercem przez łzy patrzeć na pożar Krakowa, starej Piastów i Jagiellonów stolicy, której obronić nie był w stanie. Nie długo jednakowoż przebywał Jan Kazimierz na ślązkiem swem tułactwie. Pierwszą bowiem zawsze myślą była mysl o kraju i o oswobodzeniu Ojczyzny z pod obcego najazdu. Skoro więc nadeszła do Opola, gdzie król przebywał, wieść o zawiązaniu się konfederacyi Tyszowieckiej, której duszą był wielki Stefan Czarniecki, król wsiadł na koń dnia 18. Grudnia 1655 i z małym przybocznym hufcem ruszył w podróż, a okrążając obsadzony Szwedami Kraków, po nad granicę węgierską, przepędził w drodze święta Bożego narodzenia i na Nowy Rok stanął w Łańcucie, gdzie dłuższy czas zabawiwszy, przybył z końcem stycznia do Lwowa.

Wraz z zawiązaniem się konfederacyi Tyszowieckiej i za powrotem króla przechyliło się stanowczo szczęście na stronę oręża polskiego, i zdało się nawet, że wkrótce już można się kresu nieszczęsnej wojny spodziewać. Ruszył się naród do broni i kto żyw imał za oręż. Duchem i przykładem Czarnieckiego zagrzane wojsko szło z zapałem do walki z obcym najeźdźcą, hetmani ponowili przysięgę królowi; wszyscy odwracali się od Szweda i spieszyli pod chorągiew Rzeczypospolitej. Wyparty przez Czarnieckiego z Mazowsza cofał się Karol Gustaw przez Tomaszów ku Przemyślowi, a ztamtąd osaczony nieustannie pogonią wojsk polskich, lewym brzegiem Sanu, ku Sandomierzowi, gdzie jak się zdawało ostateczną miano mu zadać klęskę.

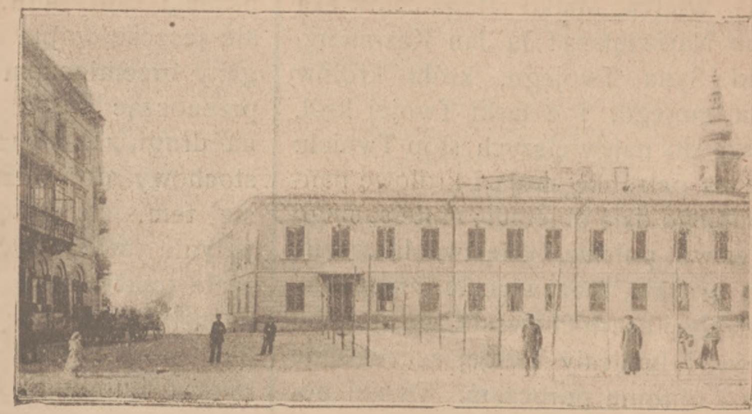


Stara cerkiew w Radomiu.

Chwilowo rozjaśnił się nieco widnokrąg, na którym jednakowoż nowe ze wszech stron gromadziły się burze. Był to jakby przelotny uśmiech słońca, w dniu słotnym przez chmury przebłysku jącego. Pobożny Jan Kazimierz tak klęski jak powodzenie do wyższych odnosił przyczyn; a śląc dzięki Najwyższemu Panu za doznane zwycięstwa, rozpamiętywał nad źródłem owych klęsk ciężkich, nad któremi bolał serdecznie. I widział butę możnych, przechodzącą wszelką miarę, i widział ucisk ludu pozbawionego praw wszelkich i uciemiężonego, oddanego na łaskę znęcającej się nad nim swawoli możnowładców. Gasły w Polsce cnoty patryarchalne, rozrywał się węzeł, łączący niegdyś przyjaźnie wszystkie warstwy narodu, a stan szlachecki zagarniający coraz bardziej dla siebie wyłącznie wszystkie swobody i przywileje, mieniący się jedynym przedstawicielem narodu, popadał w ciemnotę i swawolę, wiodąc Ojczyznę nad przepaść nieochybnej zguby. Widział król, w głębokiej boleści swojej jakby proroczym obdarzony duchem, że podniesienie i utrwalenie potęgi narodu leży w zabezpieczeniu praw ludu, w podniesieniu go do godności obywatelskiej i rozżarzeniu tym sposobem w piersi jego nieugaszonego ognia miłości Ojczyzny i niepodległości.

Proroczem niejako obdarzony widzeniem dopatrzył król Jan Kazimierz rany, co się krwawiła wewnątrz narodowego organizmu, dotarł do tej choroby, co zaniedbana, sprowadzić miała w końcu przepowiedziany przezeń upadek. I powziął ów król nieszczęśliwy a serdecznie miłujący Ojczyznę, wielki zamiar położenia węgielnego kamienia odrodzenia Polski usamowolnieniem ludu, i stworzeniem przez to potęgi narodowej, której nic złamać, ni skruszyć, której nic już nigdy zagrozićby nie zdołało. I postanowił powierzyć kraj opiece i obronie Najświętszej Panny, obierając ją za patronkę i królowę Polski.

Dzień pierwszy kwietnia 1656, przeznaczył król na złożenie owego ślubu w katedrze Lwowskiej. Wielka to była uroczystość dla Lwowa, wielka też i dla Polski całej, gdy pierwsze słowo wolności ludu wyrzeczone być miało. W skarbnicy wielkich pamiątek i zdarzeń, obrzęd ten pozostanie



Gimnazyum żeńskie w Radomiu.

pamiętną chwilą w rozwoju dziejów naszych.

Otoczony licznym pocztem senatorów duchownych i świeckich, dostojników Rzeczypospolitej, magnatów i szlachty, zjechał król Jan Kazimierz dnia tego z rana do kościoła archikatedralnego. Odmiennie wówczas wyglądała katedra Lwowska, w ścieśnionej przestrzeni otoczona oparkanionym cmentarzem, na którym pięć kaplic cisnęło się do boku gotyckich murów świątyni. Jedna tylko najpiękniejsza z nich fundacyi Boimów, kaplica ogrojcowa, istnieje dotąd, u wschodniej strony kościoła. Od zachodu, gdzie główne wejście, ciągnący się podówczas tuż w pobliżu kościoła mur forteczny, od furty jezuickiej ku dzisiejszej ulicy wałowej, zacieśniał jeszcze bardziej obszar, zapełniony w owym dniu kolasami panów, rycerskiemi pocztami w najrozmaitszych lśniących od złota strojach, wreszcie wielotysięcznym ludem ruskich ziem stolicy, spieszącym jak zwykle w podobnych razach tłumnie dla przypatrzenia się świetnemu widowisku.

I wewnątrz inaczej niżeli dziś wyglądała wówczas katedra Lwowska. Szaro pobielone ciemniały łuki smukłych kolumn gotyckich; przeszło dwieście rozmaitych pomników i nagrobków, przy późniejszej restauracji kościoła uprzątnionych, zacieśniało całe jego wnętrze, zapełnione w dniu owym tak licznym orszakiem senatorów i rycerstwa, iż z trudnością w ciasnym obrębie kościoła pomieścić się mogli.

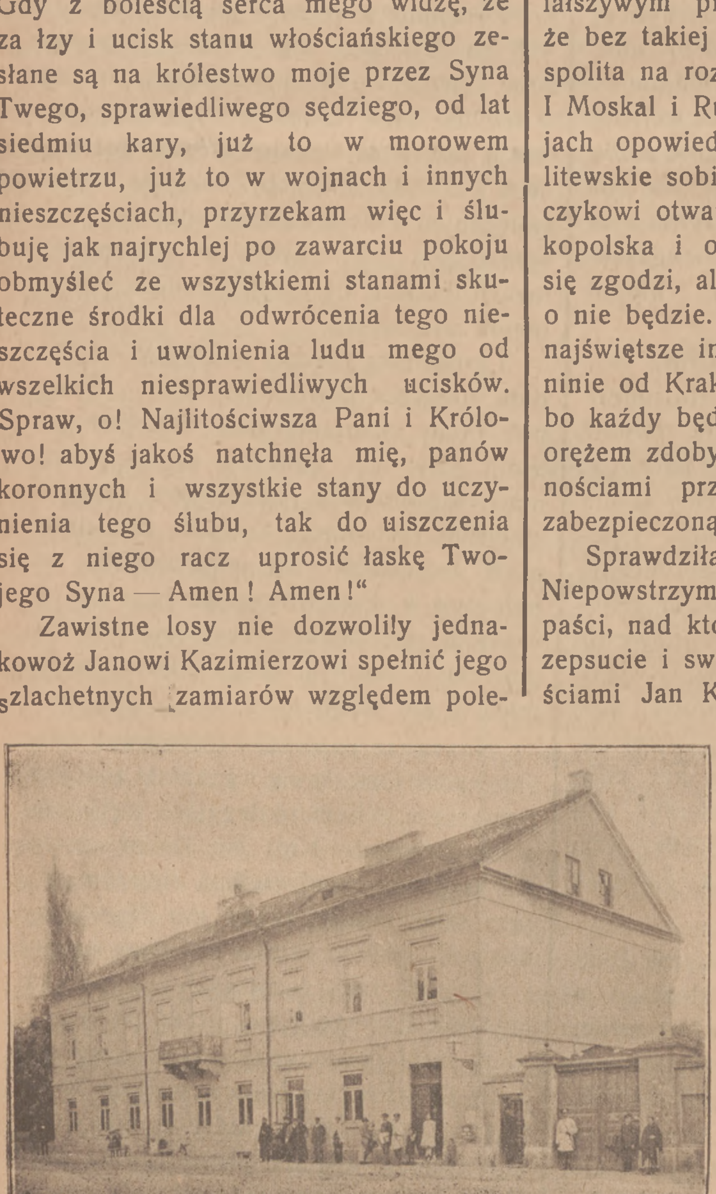
Nuncyusz papiezki zaintonował mszę śpiewaną. Ozwała się wspaniała muzyka, poważnem echem rozlegająca się wśród ścian świątyni. Król Jan Kazimierz leżał krzyżem przed wielkim ołtarzem, gorące śląc modły, ażeby mu Najwyższy dozwolił spełnić zamiar powzięty wespól i za zgodą rady senatorskiej, a po odczytaniu Ewangelji św. przed podniesieniem, król powstawszy wśród uroczystej ciszy złożył w ręce Nuncyusza ślub w następujących słowach, które za nim wszyscy senatorowie dla utwierdzenia wagi ślubu królewskiego jednogłośnie powtarzali:

„O! Wielka Matko Boga-człowieka i Panno Najświętsza! Ja Jan Kazimierz, z łaski Syna Twojego, króla królów i Pana mojego, i z łaski Twojej król, upadłszy do najświętszych stóp Twoich: Ciebie za patronkę moją i królowę państwa mojego dziś obieram; mnie samego i królestwo polskie, księstwa litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflandzkie i czernichowskie, wojska obu narodów i lud cały Twojej szczególnie opiece i obronie poruczam. Twojej pomocy i litości w tak opłakanym i niebezpiecznym stanie królestwa mojego przeciw nieprzyjaciołom najświętszego kościoła rzymskiego najpokorniej błagam, a Twojemi wielkiemi dobrodziejstwy przejęty, razem z narodem moim, nową i najgorętszą żądzę służenia Tobie ślubuję, że kiedy za przeważnem wstawieniem się Twojem, a przez wielkie miłosierdzie syna Twego, otrzymam zwycięstwo nad nieprzyjaciołmi, szczególnie nad Szwedami, będę się starał u stolicy świętej apostolskiej, aby przez wszystkie czasy na podziękowanie Tobie i Twojemu Synowi zawsze ten dzień był miany za święty i uroczysty. Dołożę starania z Biskupami moimi, ażeby to, co przyrzekam spełnionem było od ludu mojego. Gdy z boleścią serca mego widzę, że za łzy i ucisk stanu włościańskiego zesłane są na królestwo moje przez Syna Twego, sprawiedliwego sędziego, od lat siedmiu kary, już to w morowem powietrzu, już to w wojnach i innych nieszczęściach, przyrzekam więc i ślubuję jak najrychlej po zawarciu pokoju obmyśleć ze wszystkiemi stanami skuteczne środki dla odwrócenia tego nieszczęścia i uwolnienia ludu mego od wszelkich niesprawiedliwych ucisków. Spraw, o! Najlitościwsza Pani i Królowo! abyś jakoś natchnęła mię, panów koronnych i wszystkie stany do uczynienia tego ślubu, tak do uiszczenia się z niego racz uprosić łaskę Twojego Syna — Amen! Amen!“

Zawistne losy nie dozwoliły jednakowoż Janowi Kazimierzowi spełnić jego szlachetnych zamiarów względem polepszenia doli ludu. Cztery lata srożyła się jeszcze wojna szwedzka, a król, ścigany brzemiennem wojny powodzeniem, przenosząc się z jednego końca kraju na drugi, z Lwowa do Warszawy, z Częstochowy do Gdańska, nie mógł zająć się tem, co błogosławionego pokoju jedynie może być owocem. Gdy wreszcie traktat Oliwski położył koniec tej straszliwej wojnie, wnet po niej nastąpiła moskiewska, rozterki wewnętrzne, rokosz Lubomirskiego; wszystko to coraz bardziej zachwiało potęgę Rzeczypospolitej, sączyło jad śmiertelny w jej polityczny organizm, tak że ów król prorok, jak niegdyś w roku 1656 dopatrzył trafnie właściwą przyczynę słabości Rzeczypospolitej w uszczupleniu wolności i praw obywatelskich ludu, tak też w sześć lat później, widząc coraz bardziej szerzącą się anarchię i samowolę magnatów i szlachty, mógł tym samym wieszczym duchem na sejmie r. 1661, gdy wszelkie starania o obiór za życia jego następcy tronu, a tem samem uchronienia Rzeczypospolitej od nieszczęść i intryg bezkrólewia okazywały się bezskutecznemi, wyrzec tę pamiętną, ciężkiemi klęskami brzemienną przepowiednię:

„*Utinam sim falsus vates!* Obym był fałszywym prorokiem, ale to pewna, że bez takiej elekcyi przyjdzie Rzeczpospolita na rozszarpanie narodów obcych. I Moskal i Ruś przy swego języka krajach opowiedzą się i wielkie księstwa litewskie sobie przeznaczą. Brandeburczykowi otwarta będzie po granice Wielkopolska i o Prusy ze Szwedami albo się zgodzi, albo na swojem polu bić się o nie będzie. Dom rakuski, choćby miał najświętsze intencye, przy takiej szarpaninie od Krakowa także nie omieszka; bo każdy będzie wolał mieć część Polski orężem zdobytą, niż całą dawnemi wolnościami przeciw obcym monarchom zabezpieczoną.“

Sprawdziła się ciężka przepowiednia! Niepowstrzymanie dążyła Polska ku przepaści, nad którą ją postawiła ciemnota, zepsucie i swawola. Skołatany nieszczęściami Jan Kazimierz, doznawszy najboleśniejszego ciosu z śmiercią żony Maryi Ludwiki, która w przeważnej części dźwigała trudy rządu państwa, złożył koronę w r. 1668 i wyjechał do Francyi, gdzie w cztery lata później w r. 1672 umarł na wieść o zdobyciu Kamieńca Podolskiego przez Turków. Wiadomość ta nagłym, śmiertelnym ciosem przeszyła serce tułacza, nadewszystko miłującego swą Ojczyznę.



Bank państwowy w Radomiu.



Gimnazyum męzkie w Radomiu.

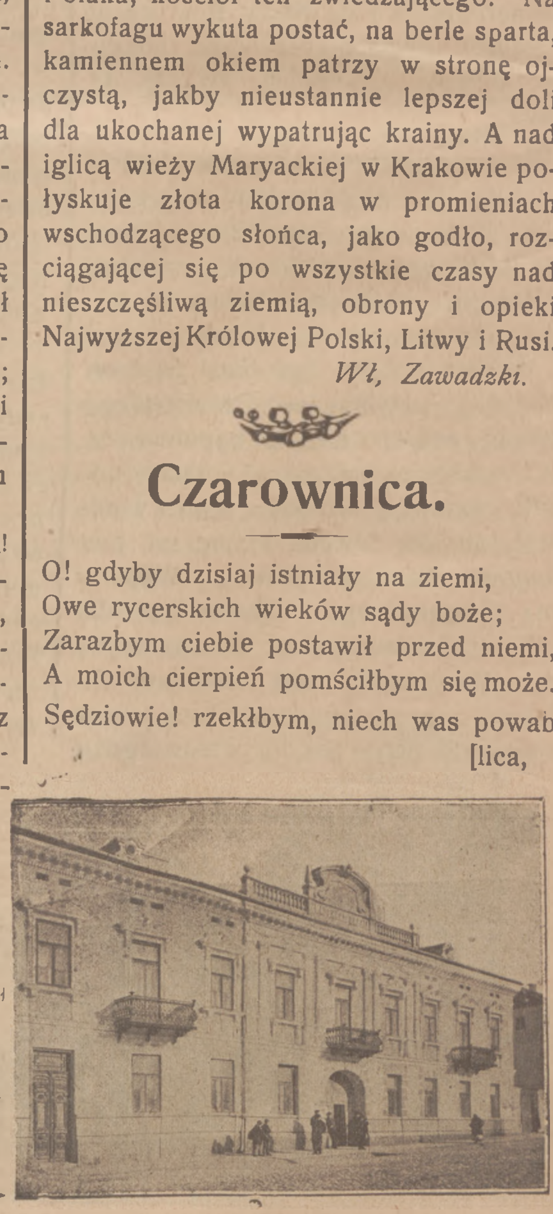
Za dni dopiero naszych zaczęło się spełniać słowo królewskiego ślubu. Na roli, krwią męczennikow przesiąkłej, weszło ziarno wolności ludu. Usamowolniony w r. 1848 lud w Galicyi przypuszczony został do używania wszystkich praw obywatelskich. Toż samo orzekł manifest rządu narodowego, w r. 1863, obejmujący przestrzeń wszystkich ziem polskich, a słowo wolności z rozkazu jego rozniosły Złote Hramoty po całej Rusi, i Litwie, po Dniepr, po słupy Chrobrego.

W kościele św. Germana w stolicy Francyi pomnik, umieszczony przy bocznej ścianie, zwraca uwagę każdego Polaka, kościół ten zwiedzającego. Na sarkofagu wykuta postać, na berle sparta, kamiennem okiem patrzy w stronę ojczystą, jakby nieustannie lepszej doli dla ukochanej wypatrując krainy. A nad iglicą wieży Maryackiej w Krakowie połyskuje złota korona w promieniach wschodzącego słońca, jako godło, rozciągającej się po wszystkie czasy nad nieszczęśliwą ziemią, obrony i opieki Najwyższej Królowej Polski, Litwy i Rusi.

Wł, Zawadzki.

Czarownica.

O! gdyby dzisiaj istniały na ziemi,
Owe rycerskich wieków sądy boże;
Zarazbym ciebie postawił przed niemi,
A moich cierpień pomściłbym się może.
Sędziowie! rzekłbym, niech was powab [lica,



Izba skarbowa w Radomiu.

Ni łzy nie mamią, ani wiek jej młody;
Każcie stos wznosić, oto czarownica!
A te są moich oskarżeń dowody:

Niegdyś me życie, jak ciche marzenie
Płynęło pośród pokoju i wiary;
Jeden jej uśmiech, jedno jej spojrzenie:
Mój pokój zniknął, — i nie sążto czary!...

Dziś jakaś burza sroży się w mem łonie,
Jej obraz w myśli, a w sercu pożary;
Tylko jej szukam, tylko za nią gonię,
Tylko nią żyję — i nie sążto czary!...

Zanadto dumny, by ziemską urodę
Uczcić westchnieniem; dla niej większe [dary:
Całego życia oddałbym swobodę;
Sędziowie! jakże, i nie sążto czary!...

Lecz, żebyś słusznej nie unikła kary,
Stuletnich sędziów trzebaby mi może;
I tychby jeszcze uwiodły twe czary,
Lepiej, że sądy nie istnieją boże.

J. N. J.

Konik zwierzyniecki.

(Do illustracyi albumowej.)

W tatarskiem ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się jak włóczek harcuje po błoniu.
Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje,
Każdy z nas szanuje, a kto się zapiera
Pamiątki swych ojców, tym wiatr poniewiera.

Kiedy nadejdzie tydzień obchodu uroczystości Bożego Ciała, Kraków, wierny swoim tradycyom, wierny nazwie małego Rzymu, pamiętny, że niegdyś w swych niezbyt obszernych murach mieścił 77 świątyń Pańskich, modli się, śpiewa pieśni nabożne, ze skruszonem sercem towarzysząc dwunastu procesyom, w ciągu oktawy po różnych ulicach, a głównie po obszernym rynku odprawianym.

Procesye te odbywają się dzisiaj podobnie, jak przed kilkoma wiekami i skład ich tak mało jest zmieniony, że gdyby który z kaznodziei Zygmuntowskich opuścił grobowe mieszkanie, ujrzałby wszystko, tak jak za swoich czasów: ten sam przepych i tęż pompę kościelną, te same złociste kapy, ornaty i opony, toż niepoliczone mnóstwo chorągwi kościelnych i cechowych, szeregi duchownych świeckich i zakonników różnych zgromadzeń i liczne bractwa, zielono, purpurowo, biało i czarno przybrane, na których czele postępuje czarne, zakapturzone, ponure arcybractwo męki Pańskiej, z obrazami religijnemi, przyszytemi na plecach, z latarniami i trupiemi głowami, zatkniętemi na laskach procesyonalnych.

Hymny pobożne, nieustanny i przytłumiony huk kotłów, odgłos mnóztwa dzwonków ręcznych, jęk dzwonów bijący w niebo z czterdziestu świątyń krakowskich, dym kadzideł, szczególne sprawiają wrażenie; zdawałoby się, że jesteśmy w jakiemś mieście hiszpańskiem lub włoskiem w czasach średniowiecznych, gdyby ubiory wieśniaczego ludu nie przypominały, że jesteśmy w Krakowie.

Tydzień przemija na nabożeństwie; przez tydzień widać lud cichy, pobożny, modlący się; lecz w dzień oktawy, w czwartek po południu, wszystko zmienia się do niepoznania: Krakowiacy wracają do stanu normalnego i z gwarliwą wesołością biegną uczestniczyć w obchodzie *Konika zwierzynieckiego.*

Sześćset lat przeszło, jak okrutny Mongoł, wyparty żądzą łupieztwa z dzikich stepów środkowej Azyi, rzucił się na Europę i brocząc mordercze dłonie w krwi Słowian, w r. 1241 najechał Polskę. Niewieściego serca król siedział wtedy na tronie Piastów. Nie był to Chrobry ani Krzywousty, chociaż imię Bolesława nosił i zamiast bronić swej dziatwy, jak tamci bronili, uszedł na Węgry przed dziczą, a lud porzucił na łup pogaństwu. Uszli i zamożniejsi mieszczanie. Garstka tylko rycerstwa i biedny gmin bronili klasztoru św. Andrzeja, co go był Konrad Mazowiecki forteczką uczynił i na przekór srogiemu Bajdarowi wziąć go nie dali.

Powtórzył się najazd w 15 lat później i Kraków jeszcze więcej ucierpiał, bo i tym razem książę chociaż wstydliwy i pobożny, nie wstydził się przed Tatarami umykać. Nakoniec klęska po trzeci raz zajrzała w oczy miastu w roku 1287. Wtedy to poszło Mongołom trudniej, a naszym gładziej, boć i lud krakowski obeznał się z nawałą i doświadczył, że ostry miecz tak łatwo chwyta się tatarskiego, jako i innego mięsa.

Kroniki piszą, że się to stało około Bożego Narodzenia; lud krakowski twierdzi, że w oktawę Bożego Ciała, a że w ten dzień od 600 lat corocznie bywa obchodzoną pamiątka tego zdarzenia; niech więc kroniki prawią, niech przeczą uczeni, chętnie im tę rzecz odstępuję, a za podaniem ludu ochoczo biegnę.

Otóż tedy Krakowiacy za ojcami swymi powtarzają, że w oktawę, podczas czwartej ewagielii, procesya nagle przerwaną została straszliwą wieścią. Uciekające gromady wiejskiego ludu jękiem napełniają powietrze. Strażnik czuwający na wieży maryackiej uderza na trwogę i woła przez tubę, że Tatarzy przeprawiają się od Zwierzyńca. Słychać dokoła modły duchowieństwa, łkania niewiast. Sami tylko mężowie spoglądają hardo, gotowi uderzyć na wroga, byleby mieli wodza. Dokończmy tego opowiadania ślicznym ustępem Edmunda Wasilewskiego:

Ale prędzej dęby w lesie
Zegnie oddech burzy
I na wiory je rozniesie,
Nim Krakowiak stchórzy.
Przypadł włóczek*) ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnywać
Piorunową chmurę.

Zanim w warkocz nocy
Słońce włosy zwiło,
Na wiślanym brzegu
Tatarów nie było.
Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli
I trupów taborem Zwierzyniec zalegli.

Przypatrzmyż się teraz, jak krakowski lud obchodzi rocznicę wydobycia się z rąk tatarskich.

Podczas ostatniej procesyi, liczniejszej jak wszystkie, warsztaty i sklepy zamknięto w mieście i wszelkie roboty przerwano. Procesya przez trzy ewangelie odbywa się w zwykłym porządku, ale po trzeciej rozpoczynają się wcale nieprzykładne dezercye w kierunku ulicy Wiślnej, ku Zwierzyńcowi.

Nareszcie w końcu ewangelii czwartej, odłącza się chorągiew włóczków z czterema proporczykami, a za niemi tłumy ludu opuszczają procesyą, która sama do kościoła Maryackiego powraca i wszystko pędzi ku Wiśle. Na plantacyach i gościńcu trudno się przecisnąć, bo już tłumy zaległy wszystkie przejścia, Okna, drzwi, balkony, dachy i drzewa zapełnione ciekawymi. Niecierpliwej dziatwie biją serduszka. Ba dziatwie! toć każdy prawdziwy a serdeczny Krakowiak, chociażby 50 lat to dziwo oglądał, ciśnie się przez tłumy, ażeby być jak najbliżej. Wszystkich oczy ku Zwierzyńcowi zwrócone, rozmowy tylko o koniku się toczą. Nagle rozlega się gwar; okrzyk „już idzie! już idzie!“ wyrywa się z tysiąca piersi. Słychać w oddaleniu znaną melodyą, grzmi krakowiak włóczków, powiewa ich chorągiew cechowa, otoczona małemi chorągiewkami, zapał ogarnia tłumy, każdy się wspina, aby go ujrzeć; rodzice podnoszą dziatwę nad głowy; trzeszczą baryery, pękają gałęzie pod ciężarem ciekawych. Tuman kurzawy otacza bohatera uroczystości. Wreszcie pojawia się straszliwy Tatar, z ogromną brodą, w żółtym turbanie i żółtych butach, z przerażającym wzrokiem i ogromną buławą... Zda się, że to Dżengis-han, Baty lub Bajdar powstał z

Włóczkami nazywają w Krakowie ludzi trudniących się spławem drzewa na Wiśle. Mają oni na to przywilej, w nagrodę waleczności otrzymany. Najdawniejsze potwierdzenie tegoż, jakie wśród burz krajowych przechować się mogło, jest Władysława IV, następnie Jana Kaźmierza (1667), Michała (1669), Jana III (1676), potem Sasów i Poniatowskiego. Prócz tego dziedziczą oni przywilej przebierania się za konika, który z rodziny na rodzinę przechodzi.

grobu Nie, to dzielny włóczek zabił tatarskiego Murzę i ustrojony w jego szaty, wraca na czele zwycięzców, a lud krakowski go wita. Tatar toruje sobie drogę wśród tłumów i ciężkim buzdyganem na wszystkie strony uderza. Za każdym ciosem pierzchają szybko przerażone tłumy, lecz jeszcze prędzej zamykają go napowrót w swoich odmętach. Każdemu uderzeniu nie jęk śmiertelny, ale pusty śmiech towarzyszy. Mało tam strachu, a wcale nic bólu, boć buława, chociaż wielkości głowy dziecięcej, jest tylko kulą skórzaną, wydętą powietrzem. Konik przebiega w poprzek plantacyi i starem przyzwyczajeniem wiedziony, zatrzymuje się przed spalonym i opuszczonym pałacem biskupów krakowskich, jak gdyby oczekiwał, rychło ukaże się książę siewierski i jak zwykle czerwony złoty wyrzuci; potem pospiesza w rynek. Tu przestrzeń 11,000 sążni kwadratowych zaległy fale ludu, co jak łąka kwieciem pokryta wygląda barwisto i w nieustannym zostaje ruchu. Strojny ubiorek bogatej mieszczanki, kosztowny kapelusz panama, a tuż obok kraciaste wstęgi wiejskiego dziewczęcia i czerwona czapka nasunięta na ucho zuchwałego parobczaka; konik wyprawia harce, muzyka gra bez przestanku; chorąży zręczne młynki ogromną chorągwią ponad głową robi; datki sypią się hojnie, wśród wesołych okrzyków.

Wreszcie Tatar, zmęczony parogodzinnem dźwiganiem konia,*) wraca na Zwierzyniec; wezbrane fale ludu płyną napowrót do zwykłego łożyska; po plantacyach i ogrodach toczą się rozmowy o starożytnym zwyczaju; zgiełk zmniejsza się, ustaje; zmierzch zapada i,. wszystko wraca do zwykłego stanu, odkładając do przyszłego roku powtórzenie starej pamiątki.

Otóż i obchód *Konika zwierzynieckiego*, który nam obrazuje illustracya albumowa.

J. Ch

U PODNOŻA Świętokrzyskich gór.

Wspomnienie z 1863 roku.

Napisał Sewer-Maciejowski.

(Dokończenie.)

Strumyk głęboki szemrał wesoło, uciekając w las. Ognie zahuczały, wrzawa biwakowa rozbiegła się swobodnie.

— Słońce przechyliło się na zachód, gdy syci i rzeźwi wtoczyliśmy się na murowany gościniec. Od trzech miesięcy nogi nasze nie dotykały murowanych gościńców. Duma w nas rosła. Szliśmy w bojowym marszu, na czoło kolumny wysunęli się strzelcy, za nimi kosynierzy i trzy furgony z żywnością. Pluton kawaleryi na przodzie i kawalerya zamykała pochód.

— Śpiewać — wołał wódz, przejeżdżając szeregi malutkiej swej armii, — bądźmy weseli, jak gdybyśmy szli do Warszawy.

Pieśń huknęła, płynąc pod niebo, nogi poszły wtakt śpiewanego marsza, świat się rozweselił, młodość w nas grała. Przebyte trudy i cierpienia rozpierzchły się, odleciały, zamarły. Żyliśmy chwilą, a przyszłością na odległość dnia. Młodość nas bodła, ta wielka mistrzyni życia.

Skąpane w złocie i purpurze zachodzącego słońca zobaczyliśmy wieże kościołów Kielc — stanęliśmy bez rozkazu. Jakieś nieokreślone uczucie zatamowało nam oddechy.

Pułkownik dowódzcy kawaleryi dodał pluton strzelców i kosynierów, kazał obejść miasto, ściąć słup telegraficzny, poprzecinać druty i nikogo w stronę Szydłowca i Radomia nie puszczać.

Kawalerya naprzód, za nią strzelcy i kosynierzy z siekierami przy pasach przemaszerowali.

Ogniste słońce staczało się za wstęgę sinych lasów, a my staczaliśmy się wolno z góry. Na lewo i prawo gościńca rzucił wódz tyralierów, miasto się do nas zbliżało.

Z drugiej strony miasta padły strzały: jeden, dwa, trzy — i znowu cicho. Przyspieszyliśmy kroku. Z miasta wyskoczył pluton kozaków. Dziesięć jednocześnie rzuconych strzałów przywitało go — cofnął się galopem.

Trąbki moskiewskie zagrały na alarm, przyspieszyliśmy kroku.

Przywitały nas karabinowe strzały od wylotu miasta, odpowiedzieliśmy gęsto, hucznie i wesoło. Z okien koszar, których ściana przylegała do miasta, posypały się strzały, cofnęliśmy się na drogę, sypiąc gęsto ogień. Moskale odpowiadali nam, lecz słabo. Dopiero po obsadzeniu domów przydrożnych ogień ich się wzmógł, lecz żadnej nam szkody nie robił.

Od strony północnej dróżyną wśród ogrodów wypadło dwunastu kozaków. Lecieli jak wiatr przyczajeni do koni. Strzały goniły za nimi, spadło dwóch.

— Dosyć — wołał wódz — niech lecą, to posłańcy po Czengierego.

Przyszła noc jasna, gorąca i parna. Strzały się wzmogły po drugiej stronie miasta.

Wódz na głównym trakcie krakowskim zostawił kawaleryą, porwał strzelców i kosynierów, ruszył ogrodami wokoło miasta na wschód.

Wrzała tam walka. Pluton naszych, cofając się, strzelał do maszerującej kolumny, która również rzuciła połowę swych sił w tyraliery. Rzuciliśmy się na ich prawe skrzydło, spędzając tyralierów i prażąc gęstym ogniem kolumnę.

Moskale widocznie mieli przesadne pojęcia o naszej sile, cofnęli się do miasta.

Szczęśliwym trafem mieliśmy tylko dwóch rannych.

Zaprzestaliśmy boju, ściągając siły na zachodnią stronę, aby się połączyć z kawaleryą i wozami. W promieniach księżyca ujrzeliśmy biegnących do nas ludzi. Wstrząsali trzymanemi w rękach czapkami.

— Bracia, to my, to my — wołali.

Dopadli nas, ze szczęścia i radości mówić nie mogli. Korzystając z przestrachu Moskali i zamieszania, uciekli — cała jedna sala więzienna — czterdziestu... Witali się, łapiąc w płuca powietrze, klękali, całowali ziemię, płakali ze szczęścia i rozrzewnienia.

— Wolni! w oddziale, w obozie, z naszym wodzem! Boże! Boże! — szeptali.

— Cóż Moskale? — zapytał wódz.

— Są pewni, że pułkownik jutro weźmiesz miasto.

Na wzgórzach otaczających miasto wódz kazał kosynierom porozpalać ogniska, sami zaś rozłożyliśmy się obozem na drugiej stronie góry. Odpoczywaliśmy, jedli słoninę i chleb, pili wódkę, radując się szczęściem uwolnionych kolegów. Pytania, odpowiedzi, zwierzania szły szybko, jak gdyby do wypowiedzenia wszystkiego nie mieli więcej nad parę minut czasu.

Dano znać do wymarszu, zerwaliśmy się na równe nogi, uszykowali i w pochód.

Słyszałem jak wódz mówił do majora:

— Czengiery zgoniony jutro wróci do Kielc, załogi Jędrzejowa i Olkusza cofną się do swych siedzib, obława się nie udała, — my wracamy do obozu spokojni na całe dwa tygodnie. Na granicy tuż pod Krakowem mam dwieście do odebrania belgijskich szaspotów i dziesięć tysięcy ładunków.

— Brak ich nam — dokończył major. — Dwieście belgijskich szaspotów, to tyle co tysiąc karabinów moskiewskich.

— Mam przyrzeczonych rekrutów, tylko ich zabrać — mówił pułkownik.

— Dlatego zrobiłem wyprawę na Kielce, znużyłem Moskali i wracam do starego obozu. Uciec zawsze mogłem

*) Jestto koń drewniany, sztuczny, z całem ubraniem i czaprakiem, którego osoba udająca konika na paskach nosi, a na własnych nogach wyprawia harce.

choćby w iłżeckie lasy. Zresztą czekam na Bogdana, prowadzi siedmset dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych ludzi.

— Wtedy inaczej zaśpiewamy Moskalom — zawołał major, dzielny oficer z kampanii 48-go roku.

Weszliśmy w las, kawaleryę i kosynierów pchnięto naprzód.

I znowu zabrzmiały pieśni, drzewa je niosły, echa powtarzały, księżyc świecił tajemniczo... Z mgieł, cieni drzew i bladych promieni księżyca wytwarzały się fantastyczne białe postacie, otaczały wojsko zasłuchane w pieśni — otaczały nas. Dwóch rannych zostawiliśmy w ustronnym dworku górskiej wioski pod opieką kobiet; wróciliśmy do obozu. Ściągnięto schowane furgony; odpoczywaliśmy, a raczej spali dzień cały.

Drugiego dnia wódz przywołał mnie do siebie.

— Powierzam ci wielką misyę; z pod samego Krakowa sprowadzisz mi ukryte w lesie skrzynie z szaspotami belgijskimi i dziesięć tysięcy do nich ładunków, po drodze weźmiesz rekruta i ochotników. Czekają, aby ich zabrać, wrócisz z nimi. Chwila najodpowiedniejsza, Moskale po nieudałej obławie odpoczywają. Spraw się dzielnie, karabinów nie oddać w ręce Moskali. Bierz dwudziestu najdzielniejszych strzelców, a do pomocy daję ci Sikorskiego; chłop jak dąb, zna wybornie lud, wszystkie ścieżki w Krakowskiem i najlepszy w oddziale strzelec.

— Pułkowniku — szepnąłem — boję się odpowiedzialności. Dwieście karabinów stracić?!...

— Nie, każę cię rozstrzelać.

— Nie wrócę bez nich, lecz szkoda.

— Kogóż poszlę — majora?... To żołnierz, lecz nie partyzant. Poszedłbym sam z całym oddziałem, lecz zastąpią nam drogę, otoczą. Nie mam nikogo, musisz iść. Sikorski będzie cię prowadzić nocami. Co parę mil zmieniać podwody — pójdzie!... Masz mapę, pieniądze, żywność.

— Proszę więc jeszcze o paru kosynierów z siekierami do pomocy. Jako szpiedzy a gospodarze w lesie — wyborni.

— Bierz, ilu chcesz. Zajdziesz na miejsce z Sikorskim, jestem pewny, lecz z powrotem ostrożnie.

Objął mnie wpół, przycisnął i pocałował.

— Pomyśl, dwieście szaspotów i dziesięć tysięcy ładunków — co za siła!... Bogdan w siedemset ludzi zbliża się do nas. Niech wtedy Czengiery zrobi na nas obławę!...

Nie było rady; gdy się nie uda, nie wrócę, gdy wrócę, co za sława! Odszukałem Sikorskiego. Olbrzym dobrodusznie się roześmiał na wieść o dwustu szaspotach i dziesięciu tysiącach ładunków.

— Z piekła je wydobędziemy i na barach przeniesiemy. Znam ja Krakowskie z czasów konspiracyi, szlachtę i chłopów, wiem, co który wart i gdzie szukać pomocy. Kapitanie, pójdziemy. Nocami będziemy maszerować, a dnie leżeć w stodołach u chłopów. Jeżeli już są na naszej stronie schowane w lesie belgijskie karabiny, nie przywieźć ich byłaby hańba!...

Sikorski wlał we mnie otuchę, poszedłem z nim na pożegnanie do pułkownika, uradziliśmy całą marszrutę, obgadał szczegóły i w samo południe wyruszyliśmy na Święty Krzyż. W nocy minęliśmy Słupią.

Sikorski znał krakowskie drogi i ścieżki, a w każdej wsi oddanych sprawie chłopów. U nich odpoczywaliśmy, u nich zamawiał podwody. Gotowe wozy miały na nas czekać, a przy nich rekruci i ochotnicy. Kosynierzy dzielnie nam pomagali.

Na czwartą noc dotarliśmy na miejsce. Właściciel wioski z ludźmi i końmi czekał na nas w lesie. Odkopali ziemię, skrzynie wydobyte złożyli na wozy, ładunki przywiezione ze dworu na trzech wozach.

Uścisnąłem rękę młodemu szlachcicowi, fornale siedli na wozy, my gdzie który mógł, i wolno, cicho wyjechaliśmy z lasu kłusem do pierwszej stacyi. Przełożyliśmy paki na drugie wozy i dalej, aby tylko odbić jak najdalej od granicy, gdzieMoskale ustawieni w szachownicę czujni byli na każdy sygnał. Patrole kozackie gęsto przelatywały.

Ucięliśmy pięć mil, od granicy zostawała miła, sześć w głąb kraju; dzień oblał nas swem światłem i przeraził. Paki zostawiliśmy w lesie, podwody podróżne wróciły.

Sikorski podobny do leśniczego, wziął kij, poszedł do wsi z trzema kosynierami uzbrojonymi w siekiery.

Dwieście karabinów, dziesięć tysięcy ładunków i nas garstka, las mały i rzadki. Mrowia nas przechodziły po skórze. Pokładliśmy się na ziemię i leżeli, przenosząc duszę do oczu i uszu. Jakże ten dzień wlókł się powoli! Godziny mijały długie jak wieczność.

Na południe wrócił Sikorski, kosynierzy w torbach przynieśli nam żywność i parę flaszek wódki. Zrobiło się raźniej, wódka nas orzeźwiła.

— Szczęście nam sprzyja — zawołał Sikorski — wczoraj byli tu Moskale, sotnia kozaków i rota piechoty — poszli do Olkusza. Wracali z obławy na nas, podobno oficerowie klęli na Czengierego.

Odetchnęliśmy.

— Droga oswobodzona i wolna!

— Zdaje się, lecz w dzień nie możemy narażać dwustu karabinów i dziesięć tysięcy naboi.

— Nigdy, czekajmy, przez siedm godzin nocy można ubić kawał drogi.

Nocy tej z jednym przeprzęgiem ucięliśmy ośm mil, piętnaście od granicy. Na drugim przeprzęgu zabraliśmy czterdziestu rekruta i dwudziestu ochotników uzbrojonych w dubeltówki. Od tej pory konwojowaliśmy wozy piechotą.

Jeszcze jedna do przebycia noc, na czwartym przeprzęgu zabraliśmy resztę rekruta i ochotników. Do Słupi cztery mile, do Świętego Krzyża pięć; okolica pusta, na prawem skrzydle lasy; idziemy śmiało w biały dzień, byle prędzej. Do podnóża gór już tylko mała milka, za godzinę jesteśmy w lesie, za półtorej uratowani i karabiny nasze — powtarzam w duchu po setny raz! Przyspieszamy kroku, nadzieja nas pcha, góry się zbliżają, tylko rękę wyciągnąć, gdy w tem przypadł do mnie Sikorski.

— Kapitanie! Moskale! — wskazał ręką.

Obejrzałem się — nie dalej jak o tysiąc pięćset kroków maszerowali ku nam szybko w zwartej kolumnie od strony Słupi. Chcieli nam przeciąć drogę na Święty Krzyż, otoczyć i wziąć w niewolę.

— Karabiny nasze! — szepnąłem.

— Wozy naprzód kłusem — wołałem — rekruci koło wozów, ochotnicy do mnie. Strzelców wziął pod komendę Sikorski.

Ruszyliśmy podwójnym krokiem; wozy poszły kłusem, rekruci wystraszeni biegli przy nich.

— Drogi już nam nie przetną — rzekł Sikorski.

Moskale czoło kolumny rzucili w tyraliery, rozpoczynając ogień.

— Szkoda ładunków odpowiadać im — mówił olbrzym.

— Byle kule nie dosięgły wozów z nabojami — zawołałem.

— Nie strzelają do wozów, głupcy.

Kule świstały, lecz nie robiły nam szkody.

— Kapitanie, gdy dopadniemy do lasu, co robić?

— Las gruby, lecz rzadki, gdy się będziemy piąć w górę, wystrzelają nas jak kaczki.

— Więc co? więc co? — pytałem przerażony. — Dwieście szaspotów i dziesięć tysięcy ładunków przepadło!...

Stanęliśmy na głównym trakcie do Świętego Krzyża; Moskale przysunęli się na tysiąc dwieście kroków, drugi pluton rzucając w tyraliery. Sikorski pobiegł do wozów. Strzelcy nasi rozsypali się również w tyraliery, żeby zatrzymać Moskali. Wielkie złomy kamieni wyborną były dla nich zasłoną. Kilka celnych strzałów zatrzymało Moskali, stanęli.

— Do mnie! — wrzasnął Sikorski.

— W las z całych sił! — zakomenderowałem.

Moskale sypnęli za nami rotowym ogniem, dym nas zasłonił, dając czas doskoczyć do wozów.

Wielka kotlina kamienna pomieściła wozy, rekrutów i ochotników. Strzelcy nasi, wyszukawszy dobrych wylotów, zaczęli strzelać.

— Tu musimy się utrzymać do zachodu słońca — oświadczył Sikorski — inaczej szaspoty i naboje dostaną się Moskalom.

— Dwadzieścia karabinów przeciw trzystu — szepnąłem wściekły z bólu. Do zachodu słońca trzy godziny!

— Półtrzeciej — odparł Sikorski — Moskale do lasu się nie kwapią, rekrutów i ochotników wzięli za żołnierzy.

— Czem ich odstraszyć?!... dwadzieścia karabinów przeciw trzystu.

— Celnemi strzałami — odparł Sikorski, pochwycił karabin, wycelował i Moskala, który krzyczał wskazując pałaszem na prawe skrzydło swych tyralierów, położył.

Ogień szedł, mimo to Moskale wolno się zbliżali.

— Obejdą nas z boków i wezmą — zawołałem.

Rekruci padli na kolana, szczęki im latały. „Jezus Marya‟, szmer ten powtarzał się nieustannie.

Ochotników z dubeltówkami rozrzucić szeroko po skrzydłach, niech strzelają.

Dałem ich pod komendę podoficera, wyszli z kotliny. Zrobiło się weselej, ogień ich ożywił nas, lecz Moskalom niewiele szkody robił. Manewrowali, kryjąc się za wyniosłością ziemi i za krzaki jałowcu.

— Źle, — szepnąłem do Sikorskiego, za pół godziny szaspoty w rękach Moskali, rekruci uciekną, nas zdziesiątkują, nie wrócę do obozu.

— Ani ja — zawołał olbrzym. — Czy Pan Bóg nas przeklął, że nam każe tonąć na brzegu. Kapitanie ryzykujesz?

— Życie — rzekłem i oddałem je.

— Do mnie strzelcy — zawołał,, stanął na najwyższym punkcie wylotu, zasłonięty skałą. — Nabijać broń i podawać mi, ja jeden tyllko strzelam. Odwrócił się do mnie. Ostatni ratunek!

Strzelcy otoczyli olbrzyma, nabijali w milczeniu karabiny, podając mu po kolei.

Sikorski, stojąc na dominującem podniesieniu, zobaczył prawe skrzydło moskiewskie kierujące się do lasu. Pięć strzałów posłał i pięciu Moskali przewrócił, prawe skrzydło zatrzymało się. Następne pięć strzałów poszło do środka, lewe skrzydło było znacznie oddalone.

Ogień nasz szedł. Olbrzym wzrok miał sokoła, oko pewne, pozycyę wyborną. Padło dwadzieścia strzałów.

— Siedmnastu Moskali — zawołał.

Powtórzyła się druga kolej nabitych karabinów. Dwadzieścia strzałów padło.

— Piętnastu Moskali i jeden oficer.

Zaśmiał się wesoło.

— Daleko do zachodu?

— Półtorej godziny.

— Po wiele naboi?

— Po ośm — odpowiedzieli strzelcy.

— Sto sześćdziesiąt, można pohulać.

Kolumna moskiewska zdaleka ukazała się na wzgórzu.

— Spróbujmy — zawołał, złożył się, strzelił, padł Moskal.

— Karabiny! — krzyknął.

Dziesięć strzałów padło jeden po drugim, wszystkie prawie celne, moskiewska kolumna cofnęła się. Zatrąbiono na tyralierów do odwrotu.

Odetchnęliśmy, olbrzym śmiał się, uściskałem go.

— Uratowałeś szaspoty, ładunki i nas.

— Jeszcze nie, czuję, że szelmy wrócą. Muszą być wściekli. Daleko do zachodu?

— Godzina.

— Noc nas uratuje, jeżeli nie przypuszczą szturmu. Gdyby jeszcze dwóch do mnie.

— Daj pokój, nie nadążyliby wam strzelcy nabijać. Posłałem do podoficera dowodzącego ochotnikami, aby nie schodzili z zajętych stanowisk.

Trąbki moskiewskie zagrały do ataku. Olbrzym skoczył na stanowisko, strzelcy z nabitymi karabinami otoczyli go, wszyscy zasłonięci. Gęsto rozrzucone w tyraliery prawe skrzydło Moskali żywo pomykało do lasu. Postanowili nas obejść i zmusić do ucieczki z pozycyi przed zachodem słońca lub żywcem wziąć. Kolumna szeroko rozstawiona ukazała się na wzgórzu.

— Bronię przystępu do lasu — zawołał olbrzym — karabiny przybijać mocno, z całych sił. Baczność!

Celował na prawe skrzydło, strzały szły spokojnie, miarowo, lecz strasznie.

Kolumna moskiewska posuwała się naprzód wśród gęstego ognia. Odpowiadały jej dla zamaskowania naszych malutkich sił strzały ochotników z pięćdziesięciu dubeltówek.

Prawe skrzydło tyralierów moskiewskich złamane cofnęło się szybko, zostawiając kilkunastu ludzi na placu.

— Cofają się po za nasze strzały i pójdą w las!...

Słońce staczając się na zachód zmieniało się w kulę ognistą, rzucającą krwawe blaski na ziemię. Tak powoli zsuwało się w ciemną przepaść, że aż nam z niecierpliwości w mózgach huczało.

— Prędzej — powtarzałem, patrząc na słońce — prędzej! — drżałem z wściekłości. — Moskale zaskoczą nas w lesie, któż zdoła zatrzymać rekrutów i wozy.

— A teraz z wami sprawa — mówił olbrzym, celując na skrzydło rozwleczonej kolumny, tam gdzie staje starszyzna.

Padło sześć strzałów, pięć celnych. Moskale rozdzielili się na plutonowe kolumny, szli naprzód szybko.

Strzelcy nabijali karabiny ze wściekłością, pot im spływał z czół. Olbrzym stał jak posąg nieruchomy, odbierał broń, przykładał się i strzelał. Pierwszy pluton przełamany cofnął się.

— Ile ładunków? — zapytał.

— Jeszcze po trzy — odpowiedzieli.

— Hulajmy! Niech żyje Polska! — zmierzył się, strzelił, drugi pluton stanął.

Kapitan padł! — zawołał. — A teraz tyralierów pomacać, przyszli na najpewniejszy strzał.

Z wściekłością rozpaczy, blady ze zmęczenia, lecz z coraz większą zaciętością pracował. Czuł, że od jego ręki i oka życie nasze zależy i co ważniejsza dwieście belgijskich karabinów i dziesięć tysięcy ładunków.

Raptem mrok spłynął w kotlinę, krwawa purpura objęła Moskali, urośli, zolbrzymieli, słońce ich zbliżyło.

Teraz albo nigdy! — wołał olbrzym — ładunki przybijać, bo mi szczęką odpadnie. Dziesięć dla mnie zostawić, a dziesięć strzałów na trzeci pluton odrazu!...

Trzasnęły zamki, dziesięć strzałów dobrze wymierzonych padło odrazu, a za nimi powoli szedł strzał po strzale, pewny, morderczy.

Trzeci pluton skrył się za wyniosłością ziemi. Słońce ostatnie blaski

purpury przez wierzchołki drzew rzuciło i zgasło.

— Wiele naboi? — zapytał olbrzym.

— Dwanaście.

Jeszcze trzy posłał strzały. Jakoś dziwnie daleko rozniosły je echa.

— Zwycięstwo — szepnął, schodząc z wyniosłości.

— Zwycięstwo! — huknęła wiara z całych sił. Głos ten dopadł do Moskali.

Olbrzym pochwycił karabin.

— Za mną! — zawołał — za mną, — wyskoczył z kotliny i pomknął na czele dwudziestu strzelców na lewe nasze skrzydło. Wysunął się z cykla lasu, dwadzieścia karabinów dało ognia za nimi, wielki okrzyk hura, biegł daleko po rosie.

Odpowiedzieliśmy piersiami wszystkich rekrutów, a nam odpowiedziały trąbki moskiewskie do odwrotu.

Szczęki mi latały, z oczu płynęły łzy, pochwyciłem w objęcia pierwszego rekruta i rozpłakałem się głośno. Rekruci płakali i chłopi przy wozach..

Wrócili ochotnicy, kotlina wrzała szaleństwami radości. Nadbiegł olbrzym ze strzelcami, rzuciłem mu się na szyję, strzelcy pochwycili na bary, rekruci całowali go po rękach.

— Ojcze! ojcze! — szeptali.

— Kto chce przyjść do obozu z karabinem — zawołał — niech leci i szuka. Nie wszystkie zabrali Moskale.

Za wybiegającymi posłałem strzelców.

Olbrzym siadł na odłamie skały, zrzucił czapkę, zmęczony robił piersiami, jak miech.

— Przy ostatnich strzałach — mówił wolno — myśleli, że Chmieliński przyszedł nam na pomoc i drapnęli do Słupi. Na świtanie wrócą.

— Odpocznijmy — przerwałem mu — zasłużyliśmy na odpoczynek. Dwieście karabinów i dziesięć tysięcy ładunków uratowane. Tyś je ocalił wraz z naszem życiem!...

— Jeszcze nigdy tyle dusz nie wyprawiłem na tamten świat, lecz cóż, sami leźli pod lufę.

— Jeszcze nigdy w życiu nie dokonałeś tak wielkiego dzieła, naprzeciw trzystu ty jeden.

— Jak szli — zawołał olbrzym — jak panny do tańca.

— A tyś kładł jednego po drugim.

— Kapitanie, czuję, że mi prawa strona gęby puchnie.

— Napijmy się! — zawołałem, uderzając go z niewysłowioną sympatyą ręką po ramieniu.

Kazałem podać z wozu kosz z prowiantami. Była to najrozkoszniejsza uczta w mem życiu!...

Rekruci, ochotnicy i strzelcy wrócili; trzydzieści karabinów, trzydzieści ładownic i trzydzieści par butów!...

— Ani jednego więcej, to z ostatnich strzałów przed zachodem słońca — zdał raport podoficer. — Resztę zabrali.

— Gdyby nas dostali? — zawołałem.

— Żywcemby piekli — zaśmiał się olbrzym — okrutną mieli ochotę!...

Kosynierzy nacięli drzew, rozpalili ogień, ucztowaliśmy oszołomieni. Lud patrzał na olbrzyma, jak na mityczną postać. Legenda o nim już się wytwarzała w mózgach i dziś błąka się po Świętokrzyskich górach i przytulonych do nich wioskach. Życie wrzało, ochota i radość rozsadzały serca, śpiewy przebijały mgły wieczorne, na których księżyc kładł srebrną swą przędzę.

— Marsz w drogę!

Dziesięciu strzelców z podoficerem wysunęło się naprzód, drugich dziesięciu zamykało pochód, kosynierzy z rekrutami drągami wydźwigali wozy.

Ruszyliśmy pod górę drogą wykutą w kamieniu. Posuwaliśmy się wolno, księżyc rzucał przed nami blade promienie i rozsuwał drzewa. Odwróciłem się, dolinę otuliła mgła. W łagodnem jej spowiciu spali snem wiecznym niewolnicy caratu. Biedacy, napróżno żony i dzieci oczekiwać ich będą, rodzinnych wiosek już nie zobaczą. Kiedyż się skończy straszny okres barbaryi najazdów i łupiestw?... Kiedyż się ziści braterstwo ludów?...

W cztery godziny później stanęliśmy przed wodzem. Cały obóz się zbudził, radość była wielka, olbrzym bohaterem.

Nazajutrz rano rozbijano paki, składano broń, rozkoszowano się bagnetami szerokimi na dłoń, zakrzywionymi leciutko ku górze.

Na południe dwieście karabinów ustawiono w kozły, szerokie bagnety iskrzyły się na słońcu. Cały obóz stanął w szeregu przed nimi. Wódz wyprowadził olbrzyma i wskazując na nie rzekł:

— Twoje są, mianuję cię nad nimi kapitanem, dobierz sobie ludzi.

Olbrzym drżał ze wzruszenia, cały obóz jak gdyby jedną piersią zawołał: Niech żyje!

KONIEC.

Z TEATRU.

„Wąsy i peruka.“ Komedya w 3-ch aktach przez I. Korzeniowskiego.

Trudno domyślić się, co mogło nakłonić dyrekcyę do wydobycia z pyłu biblioteki i pomroku zapomnienia archaicznej komedyi Korzeniowskiego, która spełniwszy swe zadanie w zamierzchłych czasach, gdy kontusz i wąs sumiasty staczał bój z francuzką peruką i cudzoziemczyzną, dziś zażywać powinna zasłużonego pokoju. Pomimo że nasza literatura dramatyczna, spętana względami i względzikami na poglądy burżuazyjne, płynie dość leniwym prądem, wynurzył się szereg komedyi, czy to swojskiego, czy psychologicznego pokroju, które z pewnością posiadają stokroć więcej siły atrakcyjnej od komedyi ośmieszającej przejściową modę, pogrzebaną, daleką i obcą, a nie przedstawiającej historycznego lub innego interesu.

Sympatyzujemy z tendencyą sztuki, stajemy po stronie wąsów i kontusza przeciwko peruce, żabotom i robronom, lecz dziś gdy zarówno staropolski jak starofrancuzki kostyum znikł pod obuchem czasu i bezsmaku estetycznego w ubiorze, moralne zwycięztwo kontusza cieszy nas o tyle tylko o ile widzimy w niem zwycięztwo polskiej tradycyi nad owczym instynktem ślepych wielbicieli cudzoziemczyzny, którzy ściągnęli na Polskę miano „papugi narodów.“ Ów strój francuzki wszakże nie jest nam dzisiejszym tak wstrętnym jak życzył sobie tego autor, bo nie możemy mu już przeciwstawić kontusza i karabeli, a stokroć milszym od niemieckiej mody i obyczaju berlińskiego, wciskającego się w dom polski.

Milszą nam wypudrowana brygadiera z czarną kokardką od niemieckich, przypłaszczonych kapeluszów zielonkawych z czupurno - idyotycznem piórkiem koguciem przyczepionem w tyle, kapeluszów, które noszą nasi obywatele wiejscy, na wzór Gutsbesitzerów.

Mimowoli wzdychamy za temi czasami, gdy królował frak francuzki, bo wraz z nim panowała ogłada towarzyska i wykwintność w wzięciu, jakiej dzisiaj nie spotykamy w salonach naszych prawie wcale. Zajęła jej miejsce niemiecka sztywność, oficerska „Schneidigkeit,“ powierzchowna literalna poprawność, które maskują

brak wrodzonej elegancyi, smaku, oglady i salonowej swobody.

A obok kiepskiego berlińskiego szyku, rozpościerającego się u nas, spotykamy pospolite nieokrzesanie, zaściankową gburowatość i rubaszność karczemną, mówiącą o niekulturalności, o schłopieniu i zdziczeniu młodzieży. Zniknął kontusz, zniknęła peruka, a z nimi zapodziała się gdzieś francuzka ogłada, polskie zacięcie, szczerość, humor i polska rycerskość. Zniknęły barwne, malownicze stroje — żyjemy w epoce brzydoty, w epoce obroży kołnierzykowych, ohydnych pantalionów, niehygienicznych gorsetów, niegustownych okryć i — berlińskiego szyku. Przestaliśmy być „Francuzami północy..."

„Wąsy i peruka" są trzyaktową, aż nadto wyczerpującą dysertacyą na temat kostyumów, która tylko bodaj takie budzić może refleksye.

Nie mówi się o niczem innem jak o wąsach lub o peruce, o nic innego nie chodzi jak tylko czy wojewodzic da się nakłonić do zarzucenia staropolskiego stroju czy nie. Ostatecznie nie idzie on za głosem mody, ale mimo to nie imponuje nam, bo obstaje przy kontuszu tylko ze względu na to, że mu w peruce nie do twarzy i że odradza mu marszałek dworu. A tymczasem moglibyśmy się spodziewać, że dzielny szlachcic z innych, wyższych pobudek oprze się naleganiom starościny. Przyrzekła mu ona kasztelanią i rękę Tekli jeżeli włoży perukę. Taki warunek wojewodzic winien był z góry odsunąć jako siebie niegodny, bo aby być kasztelanem i dobrym mężem Tekli nie potrzeba koniecznie wyglądać na Francuza, a wojewodzic i w polskim stroju miał się za odpowiedniego kandydata.

Fabuła uboga i nudna, w rozwlekłem opracowaniu tem mniej interesuje widza. Autor traktuje rzecz często po powieściopisarsku, modeluje postacie ciężką ręką, tak iż powtarzają się jedne i te same zwroty i nie ma ruchu na scenie. Staranna gra aktorów nie wlała życia w spróchniałą sztukę.

Pani Orwid występując rzadko, nie ma dość sposobności do wyrobienia w sobie temperamentu aktorskiego i nie czuje się na scenie u siebie. Ztąd starościna w jej interpretacyi wypadła blado; nie była to typowa dama sfrancuziałego dworu, którą autor chciał mieć przesadną, powłóczystą w ruchach, zmanierowaną w wzięciu i w dykcyi. Pani Szńage oddała rolę Tekli poprawnie, z swojskim wdziękiem. Pani Królikowska była zamaszystą kasztelanową, panna Larys w roli wojewodziny nie miała najmniejszego pola popisu, lecz sharmonizowała się z ensemblem dobrze. Pan Wiślański stworzył sympatyczną, dziarską postać szlachcica i grał z większą swobodą niż w innych sztukach, chociaż w ruchach zdradzał pewną sztuczność i nerwowość. W roli kasztelanica czuł się w swojej skórze. Pan Dobrzański jako szambelan, pan Prochaska jako Wojnicki, pan Czerniak jako Brzechwa wywiązali się z zadania bardzo dobrze. P. Ryszkowski skarykaturyzował fryzyera francuzkiego w myśl autora.

Kostyumy — były ładne, ale nie pragniemy ich oglądać więcej, jeżeli mają stanowić główną przynętę sztuki.

Roman Rola.

KRONIKA.

Gdybym moje kroniki chciał okrasić skandalem, miałbym tej okrasy aż nadto, potrzebowałbym tylko opisać sprawę rulety w Poznaniu i sprawę o podsunięcie dziecka, lecz wyjaśnienie tych skandalów pozostawiam prasie niemieckiej. Chwyta się owa prasa niemiecka każdej sposobności, aby imię polskie unurzać w błocie, obryzgać je kałem najgorszego gatunku. My na to możemy tylko powiedzieć: bardzo źle jest, że dajemy powody nienawidzącej nas prasie do zaczepek i szkalowania, ale możemy się nie pocieszyć, lecz zasłonić tem, że jeżeli u nas skandale zachodzą, to gdzieindziej bywają jeszcze większe. Potrzebuję tylko przypomnieć słynną sprawę Humbertów w Paryżu, a z kół niemieckich oprócz krachów bankowych bez liku, samobójstwo landrata Willicha.

Dotąd nikt nie wie, co było przyczyną samobójstwa.

Pewnem jest, że Willich padł ofiarą walki toczącej się tu od dawna w Księztwie pomiędzy Niemcami.

Od chwili kiedy Hakatyści się u nas rozpanoszyli, walka ta wre i, jak widzimy, zaczynają padać ofiary. Wydaje mi się, że sprawa Willicha doprowadzi do nieprzyjemnych wyjaśnień. Lecz nie — może się mylę — w Prusach już rozgościł się system tuszowania.

Nie nie szkodzi!

Odwracam się od tych bardzo cennych spraw i zwrócę uwagę na nasze dobroczynności. W jednej z poprzednich „Kronik" wspomniałem o tem, że „Lutnia" ma zamiar urządzić koncert d. 15 lutego. Zamiar ten stanie się na pewno faktem, ponieważ już widać w oknach wystawnych naszych kupców ogłoszenia w białobłękitnych barwach Lutni. Lecz nie jedyny będzie koncert. Słyszę, że wielce czynna przewodnicząca „Tow. Schronienia dla nauczycielek" nosi się z myślą urządzenia koncertu w dniu 13 lutego. Koncert odbędzie się na sali Bazarowej, jeżeli zaproszone amatorki i zaproszeni amatorowie wyleczą się do tego czasu z influenzy, grasującej dziś groźnie w murach naszego miasta. Słyszę także że „Tow. św. Jadwigi" przygotowuje na dzień 20 lutego koncert. Muzykalnych zatem uciech będzie dużo, trzeba będzie tylko mieć dobrze nabitą portmonetkę, aby zadość uczynić tym wszystkim dobroczynnościom. Oprócz tych projektowanych koncertów będziemy mieli występy najznakomitszej gwiazdy sceny polskiej, pani Heleny *Modrzejewskiej.* Może to już ostatnie występy tej niezwykłej aparycyi scenicznej, podbijającej melodyjnością głosu, szerokim szlachetnym gestem i dziwnie subtelnem pojmowaniem każdej roli.

Nie ma dziś na scenie naszej równie wielkiej artystki, nie ma żadnej, którąby z taką szlachetnością umiała oddać rolę, a pewno na długo artystki tej miary mieć nie będziemy. Nie potrzebuję zachęcać do zakupna biletów, ponieważ wiem, że dyrekcya naszego teatru ma co najwyżej kłopot z uczynieniem zadość wszystkim żądaniom.

W chwili kiedy zbliżamy się do wiosny, w lutym już można pisać o wiośnie, jakkolwiek do rozkwitu fiołków i do śpiewu słowika, trzeba nam jeszcze będzie nieraz znieść powiewy mroźne boreaszów i przetrzymać niejeden dzień zawieji śnieżnej; — lecz nie ulega wątpliwości, że zbliżamy się do wiosny. I w tym to właśnie czasie nasze wędrowne ptaki, nasz ludek roboczy zaczyna się ruszać na zimowych leżach i gotować się do wędrówek.

Zwrócę me oko kronikarskie na ruch emigracyjny w Galicyi, ponieważ tam właśnie kwestya robotnicza, stała się z powodu ostatnich strejków rolnych aktualną.

Niektórzy są zdania, że trzeba wychodźtwo ludu roboczego w Galicyi utrudniać, ponieważ w czasie żniw brak robotnika, szczególnie we wschodniej Galicyi. Ale trzeba i to rozważyć, że w Galicyi jest więcej rąk do pracy, niż roboty dla nich i chleba w domu. Wychodźca przez pół roku albo i dłużej żywi się na obczyźnie ze swej pracy i wraca do kraju ze sporym często zarobkiem. Galicya więcej kupuje, niż sprzedaje, więcej płaci podatku niż od rządu za wydatki miejscowe otrzymuje, a to znaczy, że w gospo-

darce krajowej miałaby Galicya stały niedobór. Do uchylenia tego niedoboru przyczyniają się zarobki wychodźców, przysyłane do kraju.

Wychodźtwo zatem pracowitego ludu roboczego przyczynia się pośrednio do wzbogacenia kraju.

O jednem trzeba jednakże pamiętać. Trzeba zająć się kierownictwem ruchu wychodźczego.

Mianowicie należy się starać o to, aby wychodźca w *większych* masach osiedlał się w *jednej* okolicy. Trzeba ruch wychodźczy *ogniskować. Tym tylko sposobem zdołamy ochronić naszych wychodźców od wynarodowienia.*

To, co mówiłem o wychodźtwie galicyjskiem, odnosi się także do naszych wychodźców. I nasi wychodźcy, idący z wiosną na Zachód niemiecki, powinni koniecznie starać się o to, aby dostać się do miejsc, gdzie już są rodacy. Skoro zaś przybędą, powinni natychmiast zapisywać się do *Towarzystw polskich* robotniczych, powinni zapisywać sobie *pisma polskie,* aby tym sposobem otoczyć się atmosferą polską, broniącą od zniemczenia.

Alfa.

Wiadomości.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Występy Heleny Modrzejewskiej w Poznaniu** Znakomita artystka wystąpi sześciokrotnie na scenie naszej. Pierwszy występ w czwartek dnia 12 lutego w dramacie Schillera „Marya Stuart."

Drugi występ w sobotę 14 lutego w sztuce H. Sudermanna: „Gniazdo rodzinne."

Następnie gość nasz grać będzie jeszcze „Walkę kobiet" Scribego, „Makbeta" Szekspira i tegoż autora: „Wiele hałasu o nic," bez oznaczenia na razie ścisłych dat. Na szósty występ sztuka dotąd nie oznaczona.

Ceny miejsc: Miejsce w loży proscceniowej parterowej i I. p. po 10,25 mr. Miejsce w loży parter., I. piętra oraz na balkonie I. p. po 6,10 mr. Krzesło part. po 4,10 mr. Balkon II p. pierwszy rząd 3,10 mr. Balkon II piętra w dalszych rzędach oraz w lożach II. piętra po 2,50 mr. Amfiteatr 1,00 mr. Galerya 60 fen. Parter stojący 1,50 mr., dla studentów 1,00 mr.

Zwyczajnie jak tylko zapowiada się jakaś wielka uroczystość w naszej świątyni sztuki, to gmach teatralny okazuje się za szczupłym, tak było na koncercie Pade-

rewskiego w roku ubiegłym, tak też znowu jest teraz na zapowiedzianych występach Heleny Modrzejewskiej — w innych czasach mały teatr nasz jest jeszcze za wielkim, najczęściej panują w nim przerażające pustki! To też dyrekcya pragnąc uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień w kasie, zanosi do publiczności gorący apel, aby ze względu na ograniczoną liczbę lóż parterowych i I. piętra (ogółem lóż 14 po 6 krzeseł) raczyła być wyrozumiałą i uwzględniła, iż wszyscy, którzy się dotychchzas zgłosili (zgłoszeń tych nadeszło kilkaset,) miejsc w rzeczonych lożach dostać nie będą mogli i zadowolić się zechcą krzesłami parterowemi lub lożami II p. Odnosi się to mianowicie do pierwszych dwóch występów, na które kasa teatru już wszystkiemi lożami rozdysponowała.

Dla informacyi nadmienia się, że wszystkie bilety na parter, I i II piętro noszą wyciśnięty stempel z nazwą sztuki, na którą dany bilet służy.

— **Wystawa robót terminatorskich.** W łonie Katol. Tow. Terminatorów Polskich pod wezw. św. Alojzego w Poznaniu, na którego czele stoi ks. patron Kłos, powstała myśl urządzenia wystawy robót terminatorskich. W wystawie tej mają brać udział tylko terminatorzy, należący do towarzystw terminatorskich w Poznaniu i na prowincyi; porozumienie w tym względzie między patronem towarzystwa Terminatorów w Poznaniu a XX. patronami na prowincyi już nastąpiło. W najbliższych dniach podane zostaną do wiadomści bliższe szczegóły i warunki wystawy. Objaśnień w sprawie wystawy udziela chętnie patron Tow. Terminatorów poznańskich ks. Kłos u Dominikanów.

— **Tow gimnastyczne „Sokół“ w Poznaniu** urządza w sobotę dnia 14 lutego r. b. na wielkiej sali teatru Apollo zabawę karnawałową, na wzór zabaw latowych. Program bardzo urozmaicony, nowe ćwiczenia, świetna dekoracya i liczne niespodzianki zadowolnią wszelkie wymagania. Ceny miejsc dla pań i członków Towarzystwa 1 m., dla panów nienależących do Sokoła 2 marki, na loże 2 marki od osoby. — Ponieważ w zeszłym roku dochodziły nas liczne skargi, że w dniu zabawy zabrakło biletów na loże, przeto urządziliśmy cztery miejsca sprzedaży tych biletów i to u druhów: J. Zabłockiego przy ulicy Wodnej; M. Zabłockiego, Berlińska 14; M. Drostego w Bazarze i K. Dybickiego, Wrocławska 1 i już teraz zwracamy na to uwagę, że można je tamże nabyć.

Wydział.

— **Teren na wile.** Nasi mienniejsi obywatele wyjeżdżają do badów przeważnie niemieckich i tam pozostawiają swe grosze, a mała tylko liczba rozsądnych pokupiła sobie grunta pod Poznaniem, jak w Kobelnicy, w Puszczykowie, w Starej Łące, w Lennej górze, aby sobie pobudować wile na pomieszkania letnie, względnie już sobie pobudowali takowe. Wynika już ztąd, że jest potrzeba dla poznańskich obywateli, aby mieli schroniska w lecie pod Poznaniem i nie potrzebowali wyjeżdżać w dalekie strony, przyczem nie tylko grosz, ale i czas dla niejednego tak drogi się traci. W ostatnich latach wykazało się też, że letnikom poznańskim właściciele lasów przyległych tak w Kobylnicy, jak w Puszczykowie robią trudności tak, iż nawet niewinny spacer po cienistym lasku jest im wzbroniony. Potrzeba więc jasna, że trzeba było pomyśleć o takiem miejscu dla domków letnich czyli wil, gdzieby letnicy nie byli zależni od osób trzecich, czyli słowem, aby sami byli panami ziemi, którą sobie obrali.

Otóż grono dobrze myślących obywateli wyszukało sobie odpowiednie grunta ku temu tak upragnionemu celowi, a temi są Młyn Łączny tuż za Maltą pod Poznaniem. Jestto teren z 470 morgów się składający, w połowie z lasu, w połowie z różnorodnych pagórków, dolin, muraw i jeziorka, na którym nietylko łazienki, lecz także przejażdżki w gondolach urządzić można.

Za inicyatywą tych panów zakupił Bank Parcelacyjny przy ul. Wiktoryi i róg św. Marcina swe biura mający, od p. Rabbowa Łączny młyn z 470 morgów się składający i dokupił z sąsiedniej wsi Chartowa kilkadziesiąt mórg przyległego lasku, porobił plany i niebawem rozpocznie parcelować ów teren.

Będą tam miejsca po 4, 3, 2 i 1 mordze w cenie bardzo umiarkowanej. Teren pod wilę większą z laskiem, łączką i prawem do rzeczki i jeziorka, jako też spacerowania po całym obszarze kosztować będzie ca 5000 mr., taki sam, nieco mniejszy 4000 mr., jeszcze mniejszy 3000 mr., a najmniejszy 1500 mr. przy wpłacie połowy ceny kupna. Bank Parcelacyjny zamierza sprzedać dworostwo takiemu człowiekowi, który letnikom dostarczać będzie nietylko potrzebnego mleka, jaj itp., lecz także powózek o każdej porze za cenę przez Bank podyktowaną, a mierną.

Zamówienia na teren pod wile prosimy w Banku Parcelacyjnym już teraz składać, aby podług nich plan kolon zacyjny uzupełnić.

— **Dla 90-letniego** weterana, Belwederczyka Maksymiliana Kosińskiego otrzymaliśmy w dalszym ciągu od p. J. Kempińskiego z Wilhelmshaven zebrane w gronie Polaków tamże 4 mk. 50 fen. Razem zebraliśmy dotąd na ten cel 51 m. 25 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na Czytelnie ludowe** otrzymaliśmy od Towarzystwa św. Barbary z Oberhausen przez p. St. Mikołajczaka 20 mk. — Z Poznania zebrane w kółku męzkiem u p. R. dnia 29 z. m. 6 m. 20 f.

— **Złote wesele** obchodzili dnia 27-go z. m. małżonkowie St. i M. Krotofile w Małej Chocicy pod Wrześnią.

— **Slub.** Dnia 28-go z. m. został pobłogosławiony w Miłosławiu związek małżeński pomiędzy panem Stefanem Maciejewskim kupcem, a panną Heleną Starkowską. Młodej parze szczęść Boże!

— **Berlin,** d. 28 stycznia 1903. Wyczytawszy w wiadomościach ostatniego Nr. „Pracy“ prośbę Tow. polsko katolic. w Szczecinie, pozwalam sobie niniejszem donieść, iż właśnie w Berlinie założył się obecnie taki związek robotniczy z kasą pośmiertną. Proszę bardzo szanowną Redakcyą o rychłą odpowiedź, mianowicie o bliższy adres odnośnego Towarzystwa,*) abyśmy tamtejszym rodakom mogli moralnie i materyalnie się przysłużyć.

W imieniu Zarządu
P. Bandurski, sekretarz.
Berlin S. O. Eisenbahnstr. 33 v. IV Trp.

*) Niech Tow. polsko-katolickie w Szczecinie poda w swym interesie bliższy adres, którego nie znamy. — Przyp. Red.

Zmarli.

† **S. p. Teofil Orcholski**, dnia 20 z. m. we Wrześni, przeżywszy 52 lata.

† **S. p. Jozef Chojncki** dnia 27 z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 40.

† **S. p. Jan Nep. Dalkowski** dnia 30 z. m. w Miejskiej Górce.

† **S. p. z Grabowskich Justyna Szczepańska** dnia 31 z. m., przeżywszy lat 72. Pogrzeb odbył się w Nowem w Prusach Zachodnich.

† **S. p. Warya Stogniew-Szczucka**, artystka dramatyczna, dnia 31 z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 23.

Wiadomości literackie.

Wyszła świeżo w Poznaniu drukiem i nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha książka p. t. **„Przewodnik do Egiptu i Palestyny.“** Napisał ks. B. J. Łukaszkiewicz. Dziełko to, zaopatrzone w ryciny i mapkę, zawiera w 3 częściach zajmujący opis Ziemi świętej i miejsc świętych. Cena 1 m., oprawne w płótno 1,50 m.

Od Redakcyi.

Panu A. Ł. w Schönningen. — Dziękujemy. Co do anonsowania w pismach alzackich poinformuje Pana „Reclame“ w Poznaniu, Piekary (Bäckerstrasse).

Panu B. Kł. w Będlewie. — My takiego obrazka nie posiadamy. Nabyć Pan możesz w Księgarni katolickiej w Poznaniu.

Czytelnikowi z Berlina. — Jeżeli inwalida wojskowy, pobierający pensyą wojskową, nie był zabezpieczony od wypadków (inwalidztwa), natenczas nie może żądać renty z Towarzystwa ubezpieczeń, lecz może chyba starać się u władzy wojskowej o wspomożenie. W najgorszym razie musiałaby mu gmina dawać wsparcie.

Panu K. w S. — Wierutna bajka.

Panu I R. w D. — Korespondencya zbyt osobista, więc jej zamieścić nie możemy.

Pani S. W. w K. — Tego rodzaju adresów nie posiadamy.

Humorystyka.

Poznał siebie.

Dorobkiewicz (przeglądając się w lustrze, do siebie). Od czasu, jak zostałem hrabią, widzę dobrze, jaką ja przedtem pospolitą postać miałem!

Zła perspektywa.

Student (do wchodzącego komornika): — Niech pan będzie łaskaw zająć miejsce... To zresztą jest wszystko, co tu pan może zająć!...

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

2)

Wpadłszy, rzucił mi się na szyję.

— Pójdziemy się bić! — zawołał.

Dawno chciałem to uczynić, więc słowa jego przyjąłem chłodno. Sądził, że to ów dawny chłód, który od kilku lat oddalał nas od siebie, więc rzekł prędko:

— Było coś między nami, ale na mojego proroka! niechaj to pójdzie w niepamięć. Henryku, znów strzemię do strzemienia!

Przypomniałem sobie, jak mój ojciec rzekł do mnie, kiedym miał mieć pojedynek z Selimem:

— A to już bij, synku, aż się wszyscy dyabli będą śmieli.

Więc odpowiedziałem podobnie Mirzie:

— Tak, będziemy bili, Selimie, aż będzie w piekle słychać.

Potem uściskaliśmy się, a potem zaczęli sprzeczać. Ja chciałem zostać w Paryżu i bić się pod jego murami, Selim pragnął wydostać się z murów i zaciągnąć się do wolnych strzelców.

— Tu hołota mieszczańska zmykać będzie.

Potem zaczął mi opowiadać o La Rochenoirze i zaręczał, że pod jego komendą znajdziemy, czego szukamy.

— On mnie nie cierpi — rzekł — ale to szczególniejszy człowiek. Nigdy nie spotkałem podobnego charakteru. Dałbym głowę za niego.

Czytelnicy wiedzą już, że naprózno wypytywałem się Selima o bliższe szczegóły pojedynku z La Rochenoirem. Domyślałem się, że on to był tym markizem, któremu Selim w pojedynku wytrącił trzykrotnie broń z ręki, ale zresztą Selim miał mnóstwo pojedynków, trudno więc było coś stanowczego wnosić.

— Powiadam ci, że takich ludzi niema może trzech na świecie — mówił do mnie z naleganiem.

Ustąpiłem wreszcie, bo zwykle ustępowałem Selimowi, ale uczyniłem to z przykrością. W Paryżu dość było wziąć karabin i wyjść za mury, żeby się bić, ile dusza raczy — za Paryż trzeba się już było wydostawać balonem. Ta powietrzna żegluga nie uśmiechała mi się. Zresztą chciałem zaciągnąć się do jazdy, oddział zaś La Rochenoira był pieszy, ale Selim uparł się — i ustąpiłem.

Puściliśmy się więc w dwa dni później balonem, wiozące ze sobą mnóstwo depesz dla dyktatora. Dzień był chmurny, dżdżysty. Statek nasz, który w mieście samem wzbił się od razu w górę o kilka tysięcy stóp, tuż za miastem opadł na dwa strzały karabinowe nad ziemię i wlókł się ociężale ponad samym obozem pruskim. Widziałem cały obóz, jak na dłoni, białe morze namiotów, reduty, działa, wartowników w śpiczastych hełmach, stojących nieruchomo, jak posągi, naokół obozu. Większe i mniejsze grupy żołnierzy ukazywały nas palcami, generałowie patrzyli na nas przez lunety i cały obóz zawrzał ruchem, którego gwar dolatywał aż do nas. Strzelono do naszego statku z małego polowego działka, ale nie słyszeliśmy nawet świstu kuli. Mr. Vaucourt, kapitan balonowy, dzielny aeronauta, ale wielki tchórz, umierał ze strachu na dnie łodzi. Selim śmiał się, jak dziecko, klaskał w ręce, kłaniał się niemcom i wołał na nich wszystkiemi językami, a przytem potrząsał łódką, co powiększało jeszcze strach pana Vaucourt, ja zaś, trzymając karabin, śledziłem, czyby nie można dać strzału, ale zarówno zbytnia odległość, jak i kołysanie się łodzi stały temu na przeszkodzie.

Jednakże, kiedy dotarliśmy do ostatnich placówek obozu, balon zniżył się jeszcze bardziej. Teraz i Selim uchwycił za karabin, a oczy zaiskrzyły mu się, jak u wilka. Wytężył wzrok w jedną stronę, i po chwili rzekł do mnie:

— Patrz!

Spojrzałem w stronę, którą mi ukazywał, i przez przezroczystą mgłę, wśród której płynęliśmy w tej chwili, dojrzałem, jak od czarnej ogromnej masy ludzi oderwało się kilkadziesiąt postaci na koniach i poczęło dążyć za nami.

Wkrótce gołem okiem mogliśmy dostrzec kwadratowe czapki ułańskie, mundury, lance i barwę chorągiewek. Z dołu dochodziły nas ich okrzyki; wkrótce znaleźli się tuż pod nami. Tymczasem statek zniżył się jeszcze bardziej i płynął coraz wolniej.

— To ułani! — zawołał Selim.

— *Nous sommes perdus!* — zajęczał pan Vaucourt.

Ułani tymczasem sadzili, co koń wyskoczy, ale bez najmniejszego porządku. Na przedzie biegł oficer, rosły mężczyzna, o jasnej brodzie. Kasztanowaty koń jego, widać, dzielniejszy od innych, sadził, jak szalony, wprost pod balonem, wyrzucając ziemię kopytami. Oficer, nie bacząc na drogę, z podniesioną do góry głową, patrzał, jak w tęczę, w statek, krzycząc po niemiecku:

— Mamy was! mamy was!

— Trzymaj! — odpowiadał mu, śmiejąc się, Selim.

Tymczasem wpłynęliśmy na łąkę, porosłą kępkami szuwarów i widocznie trochę bagnistą, konie bowiem ułanów poczęły więznąć i padać, blizko połowa została już za nami i wkrótce też zatrzymała konie, oficer jednak i dwudziestu innych ludzi dotrzymywali nam w biegu doskonale.

— Co za dzielne konie! — rzekłem do Selima.

— Możnaby już strzelać — rzekł.

Istotnie, nie byliśmy wyżej, niż na dwieście kroków nad ziemią, ale strzelać było trudno z powodu kołysania się łódki, która chwilami przybierała prawie poziome położenie.

— Czy nie możesz pan sprawić, żeby ta dyabelska łódka nie tańczyła, jak baletniczka? — krzyczał podniesionym głosem Selim, jak gdyby pan Vaucourt był głuchy.

— *Nous sommes perdus!* — jęknął pan Vaucourt.

Wówczas Selim, trzymając się jedną ręką lin, powstał w łódce, drugą zaś zmierzył z karabinu do oficera, jak gdyby strzelał z pistoletu.

— Chybisz — rzekłem.

— Spróbuję.

Rozległ się głucho strzał, któremu natychmiast odpowiedział okrzyk wściekłości z dołu. Spojrzałem: oficer nie patrzył już w górę, ale upadł twarzą na grzywę konia, a wkrótce zwalił się na ziemię.

Jednocześnie jednak zniżyliśmy się tak, że lina próbna, jaka zwykle wisi pod balonem, dotykała prawie ziemi. Szczęściem, ułani zatrzymali się nad zabitym oficerem, skutkiem czego zdołaliśmy się oddalić od nich na kilkaset kroków.

Pan Vaucourt, oprzytomniawszy, wyrzucał ze statku wszystko, co się jeszcze dało wyrzucić, ale widocznie gaz przesiąkał przez rozmokłą kitajkę, czy może w górnej części statku porobiły się otwory, dość, że lina próbna poczęła już niemal trzecią częścią swej długości uderzać o ziemię, sprawiając niezmierne kołysanie się łódki.

Ułani, spostrzegłszy to, znowu rzucili się w pogoń, ale konie ich pomęczone, nie mogły tak długo biedz za nami, wkrótce więc zostało ich tylko pięciu, następnie, po kilkunastu minutach, znowu koń pd jednym padł i nie powstał więcej.

— Już tylko czterech — rzekł Selim.

— Daj ognia, a będzie trzech.

— Zadaleko, zresztą łódka chyba się wściekła.

Jednakże nie potrzebujemy już uciekać.

— A zatem dobrze! Panie Vaucourt, otwórz klapę, niechaj gaz wyjdzie, chcemy wysiąść.

— Panowie! — zawołał z rozpaczą francuz — czyście rozum stracili? Jakto, czterech tych dyabłów sadzi za nami, a my dobrowolnie chcemy się im oddać? Nigdy!

— Panie Vaucourt, otwórz klapę i spuść kotwicę — powtórzył groźnie Selim.

— Nigdy.

Wówczas Mirza odwrócił się do mnie i rzekł spokojnie:

— Bądź tak dobry, przyłóż lufę karabinową do ucha pana Vaucourt; niechaj wybiera.

Odwróciłem się i trzymając się jedną ręką lin, drugą, skierowałem karabin do ucha pana Vaucourt.

— Daję panu minutę czasu do namysłu.

Pan Vaucourt począł przeklinać naszą narodowość, chwilę, w której przyszedł na świat, siebie, Paryż, prusaków, ale spuścił kotwicę i drżącemi rękoma otwierał klapę z takim pośpiechem, jakby od tego ocalenie Francyi zawisło. Poczęliśmy spadać na dół, jak kola.

— Trzymaj się! — krzyknął Selim.

Jednakże nie obrachowaliśmy jednej rzeczy. Oto z łódki balonu nie wysiada się tak, jak z powozu; kotwica zaczepiła się wprawdzie o kępę, ale łódka uderzyła tak silnie o ziemię, że wylecieliśmy wszyscy trzej w trzy różne strony, jak z procy. Co gorsza, karabin wypadł mi z ręki, sam zaś upadłem twarzą na kępę.

Zerwałem się natychmiast, ale nie zdążyłem jeszcze rzucić okiem za moim karabinem, gdy tuż koło ucha mego rozległo się chrapanie konia i warczenie chorągiewki ułańskiej.

— W prawo, w prawo! — krzyknął Selim.

Nie zdołałem jeszcze uskoczyć, gdy huknął strzał, i jeździec, który już dosięgał mnie lancą, jakby piorunem rażony, łypnął oczyma i zwalił się ciężko z siodła.

— Ach, Mirza, spadając, widocznie nie upuścił karabina!

Pochwyciłem i ja za mój i spojrzałem naokoło. Teraz Selim był w niebezpieczeństwie. Dwóch jeźdźców parło na niego całą szybkością koni, wyjąc i wrzeszcząc jak opętani. On zaś, z rozwianym włosem, bez kapelusza, z rozdętemi nozdrzami i rumieńcami na twarzy, czekał na nich spokojnie, ściskając w obu rękach karabin. Ach, jeden z jeźdźców brał Selima na cel z pistoletu — pociągnąłem za cyngiel.

Z trzech atakujących nas pozostał jeden, ale o rezultat walki byłem już spokojny. Mirza zbyt biegłym był fechmistrzem na wszelką broń, aby ów rezultat mógł być wątpliwy.

Pozostał jeszcze czwarty ułan, ale ten, ujrzawszy z odległości dwustu kroków rezultat walki, zdarł konia wędzidłem tak, że aż tylne nogi zwierzęcia zaryły się głęboko w trawę, potem począł uciekać tak szybko, jak tylko zmęczony biegiem mógł nadążyć.

Selim strzelił za nim jeszcze, ale bez rezultatu, odległość bowiem była zbyt wielka.

Ręka prusaka, którego Selim zastrzelił tuż nademną, nie puściła cugli, dlatego koń jego stał z pochyloną głową nad martwem ciałem swego pana. Obaj z Selimem wyplątaliśmy z trudnością cugle z tej ręki, której palce były już zesztywniałe, poczem Selim wskoczył na siodło i pogalopował za dwoma innemi końmi, z których jeden, zwierzę widocznie głupie, począł gryźć sobie trawę, tak jak gdyby nic nie zaszło, drugi zaś biegł po łące galopem i krótkiem rżeniem oznajmiał swoją żałość.

Gonitwa za końmi zajęła Selimowi trochę czasu, w kwadrans jednak schwytał obadwa, ja tymczasem poszedłem szukać pana Vaucourt, z którym nie wiedziałem, co się dzieje.

Znalazłem go za kępą szuwarów, leżącego twarzą do ziemi, i począłem go wstrząsać za ramię.

— Panie Vaucourt, wstawaj pan!

— *Pardonnez moi!* — jęczał pan Vaucourt, sądził bowiem, że to ułan pruski namawia go, by wstał. Biedakowi nie przyszło do głowy, że prusak nie wołałby na niego po francusku.

— Panie Vaucourt! to my; niema już ułanów, to my, pańscy towarzysze!

Pan Vaucourt podniósł głowę i, podparłszy się obu rękami, nie wstając zresztą, patrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, oczom własnym nie wierząc. Stojący obok z końmi Selim śmiał się, jak szalony.

— Tak, tak! niema już prusaków — powtórzył.

Pan Vaucourt powiódł oczyma po nas, po koniach ułańskich, po ciałach leżących na łące, potem zaś nagle wpadł w taki paroksyzm radości, że sądziliśmy, iż dostał pomieszania zmysłów.

— *Eh bien! vous etes donc des diables!* wołał, nie mogąc przyjść do siebie.

— To on to wszystko zrobił — rzekłem ukazując na Selima.

— Jakto? ten młody człowiek z twarzą... panienki?

— Nie, nie! to my obaj — odpowiedział Selim.

Pan Vaucourt śmiał się, tańczył, wypytywał nas, to znów tańczył, słowem, całkowicie postradał zmysły. Potem pobiegł oglądać zabitych, ale, gdy się zatrzymał przed trupem najbliższego prusaka, który z twarzą wykrzywioną przez konwulsye, z krwawą pianą na ustach i zaciśniętemi zębami spoglądał na niego martwem okiem, biedakowi zrobiło się słabo i pobladł tak, że myśleliśmy, iż zemdleje.

Selim namawiał go, by obszukał kieszenie poległych, ale bał się tego uczynić. My zaś wzięliśmy tylko kaski i, siadłszy na konie, puściliśmy się w dalszą drogę.

— Wolę jednak tak, niż tą piekielną machiną — rzekł Selim, gdy przejeżdżaliśmy koło balonu, który, leżąc na trawie i opadłszy zupełnie, przedstawiał widok nader smutny.

Tymczasem pociemniało, a wkrótce zrobiła się noc zupełna. Dostaliśmy się na jakąś drożynę, o której nie wiedzieliśmy, czy nie zawiedzie nas do jakiej wioski, pełnej prusaków. Trzeba było zachować wszelką ostrożność, bo niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze zupełnie. Byliśmy w okolicach, zajętych przez nieprzyjaciela, i lada chwila mogliśmy się spotkać z jakimś patrolem. Możliwem było także, że wysłano za nami nową pogoń. Tymczasem pan Vaucourt, puściwszy raz wodze językowi, nie mógł go już utrzymać, i wynurzał nam swoją „nieskończoną" i „nieopisaną" wdzięczność tak głośno, że wreszcie Mirza kazał mu być cicho.

— Dlaczego? — pytał.

— Prusacy mogą być niedaleko.

— *Avec vous, je m'en fiche!* — odpowiedział z całem zaufaniem.

Odwaga jego teraz była równie „nieopisaną", jak wdzięczność.

Tymczasem leśna drożyna stawała się coraz węższą. Często, spłoszeni jakim szelestem, skręcaliśmy w bok, zatrzymując konie i dech w piersiach. Raz sarna z młodem przebiegła nam drogę i, spojrzawszy na nas, w krótkich podskokach pobiegła na pobliską polankę, na której poczęła skubać spokojnie trawę. Zdawało się, że w owych czasach zwierzęta widocznie wiedziały, iż ludzie zbyt są zajęci zabijaniem siebie, aby mieli czas zwracać na nie uwagę. Czasem gałęzie drzew uderzały o nasze twarze, lub zaczepiały o suknie, czasem koń chrapnął niespokojnie, lub jaki pień, stojący na uboczu w ciemnościach nocy, przybierał fantastyczny kształt człowieka z otwartemi ramionami, lub rękoma podniesionemi do nieba, wówczas zatrzymywaliśmy konie, pan Vaucourt zostawał z tyłu, my zaś z Selimem, odwiódłszy kurki, podjeżdżaliśmy zwolna do podejrzanego przedmiotu. Las szumiał, deszcz trochę ustał, ale natomiast zerwał się wicher, po ciemnem niebie przelatywały poszarpane chmury, to przesłaniając światło księżyca, to odkrywając przestrzenie, pokryte blademi gwiazdkami.

Nerwy naszego towarzysza poczęły znowu głośniej przemawiać. Co do mnie, czułem się zupełnie szczęśliwy. Ta cisza, samotność, dzika ustroń leśna, noc, otwarty powiew wiatru, niepewność i niebezpieczeństwo każdej chwili miały dla mnie niepojęty urok, jakby zmartwychpowstania. Mnie tam duszno i ciasno było w murach, tu oddychałem szeroko, całym obszarem płuc, jak Farys w Arabistanie. Tam, w murach, wplatałem się codzień w bolesne koło własnych myśli i wspomnień, tu strzemię moje trącało o strzemię brata, tatara, przedemną był szeroki kraj, drugi brat, karabin, w ręku, swobodą, zapomnienie życia, upojenie... śmierć...

Gdyby bezpieczeństwo towarzyszów nie stało temu na przeszkodzie, chciałbym był podnieść twarz ku niebu i krzyczeć pełną piersią: hej, hej, ty puszczo szumiąca! a potem słuchać pilnemi uszyma, co odpowiada mi bór, na którym wiatr grał, jak na organach. Pół leśna, pół dzika dusza litewska rozbudziła się we mnie i zdawało mi się, że jestem gdzieś w Ponarskiej lub Białowieży, wśród mateczników i bagien, w których o północy wody mruczą wyraźnie, ostre krzyki świtezianek przeszywają powietrze, próchno świeci błękitnem światłem, a zwierz na uroczyskach ludzką przemawia mową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

43) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Ale jak każda rzecz ma swoje dwie strony, tak i życie w pałacu Chimay nie było bez cierni, i Józefina poznała wnet, że zadanie, jakie jej postawił doktor Tritoni, wcale łatwem nie było!

Książę był rzeczywiście niezmiernie zazdrosny i patrzał z podejrzeniem na każdego, kto pozyskał względy Klary. Uważał on każdego za pośrednika pomiędzy cyganem a żoną, to też z początku obchodził się z Józefiną, jak z prostą służącą.

Okazywał jej nawet jawnie, że nie życzy sobie jej obecności, ale Józefina na nic nie zważała. I z czasem zmienił książę swoje postępowanie, stał się grzecznym, a nawet starał się widocznie o pozyskanie jej zaufania. Ale Józefina była bardzo ostrożną.

Raz gdy Klara wyjechała, a Józefina sama była w salonie, wszedł książę, przywitał ją z wyszukaną grzecznością, i posunął jej wygodny fotel.

— Zajmij pani miejsce, — rzekł, — chciałbym z panią pomówić o czemś bardzo ważnem.

— Słucham księcia!

— Jesteśmy sami, i dlatego korzystam z tej sposobności, aby ci zrobić pewną propozycyę. Spodziewam się że będziesz dosyć rozsądną, aby ją przyjąć. Wiem, że żona moja ma do pani wielkie zaufanie i że znasz jej myśli i uczucia..... No, bez długich wstępów! Moja żona nie kocha mnie — serce jej należy do innego, ale człowiek ten stoi pod względem towarzyskim tak nizko, że nie uważam go wcale za rywala. Z tem wszystkiem kocha go Klara, i jestem przekonany, że widuje raz po raz tego nędznego cygana! Nie potępiam jej — ale lituję się nad nią, bo zdaje mi się, że dziwna ta namiętność jest — zboczeniem umysłowem!

— Przepraszam księcia, — zaczęła Józefina, ale książę przerwał jej żywo:

— Posłuchaj mnie pani do końca! Chorych trzeba pilnować — ja, jako mąż, mam nawet obowiązek czuwania nad nią, dlatego byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś mi pani codziennie rano zdała relacyę z każdego jej czynu dnia poprzedniego..... Zapłaciłbym pani każde słowo złotem — a że jesteś biedną, przeto dochód ten poboczny byłby ci może bardzo pożądanym. — — —

Józefina zerwała się oburzona i spojrzała z pogardą na mówiącego.

— Zrozumiałam księcia, — zawołała, — i wiem, jaki tytuł należałby mi się, gdybym przystała na to żądanie! Chcesz pan mieć szpiega i zdrajcę w domu — dobrze, ale poszukaj sobie na to kogo innego!

Po tych słowach wyszła z salonu.

Książę zacisnął pięści.

— Odpokutujesz mi za to, — szepnął. — Nie chcesz być moim szpiegiem, a więc jesteś wspólniczką Klary — ale ja cię usunę z mej drogi!

Józefina nie słyszała już tej groźby księcia.

Ale pomimo to postanowiła być jeszcze ostrożniejszą, przeczuwała bowiem, że ma odtąd w księciu niebezpiecznego wroga. I tem więcej przywiązała się teraz do Klary.

Wkrótce też zwierzyła jej się Klara z swoich najtajniejszych zamiarów. Postanowiła ona zerwać przemocą więzy, łączące ją z księciem, i uciec z cyganem, którego kochała więcej, niż kiedykolwiek.

— Jak chętnie zrzeknę się mego tytułu, — mówiła z uśmiechem. — Chcę zostać żoną cygana, chociażbym miała poświęcić cały mój majątek! Co może być droższego na świecie, jak kochające serce? Znosić biedę z tym, którego się kocha — to większe szczęście, niż żyć w dostatkach bez niego!

Ach, Józefina przyznawała jej słuszność!

Rigo tymczasem nie próżnował w Paryżu.

Samo jego nazwisko, ogłoszone w gazetach wystarczało, aby najlepsi cygańscy artyści spieszyli do niego i tak zebrała się w krótkim czasie wyborowa cygańska kapela, której on był dyrygentem. W Folies Bergeres dawali codziennie koncerta, na które spieszył każdy, kto lubił muzykę.

Każdy chciał słyszeć — „króla cyganów" — tak go przezwali Paryżanie, i każdy zachwycał się jego grą i całą jego osobą.

Setki pięknych oczu spoczywało na jego twarzy z wyrazem najwyższego uwielbienia, całe stosy różowych bilecików wręczano mu codziennie, ale on na wszystko był obojętny.

W sercu jego panowała wyłącznie Klara!

Księżna pragnęła gorąco zobaczyć swego ukochanego Riga, nie wiedziała jednak, w jaki sposób dostać się do Folies Bergerés! Byłaby go chociaż zdaleka widziała i cieszyła się jego powodzeniem i tryumfami, ale książę kazał ją śledzić swoim agentom i nie byłby jej za nic w świecie pozwolił iść na koncert!

Dniem i nocą myślała o tem, jak oszukać czujność męża i agentów i nareszcie zdawało jej się, że wynalazła sposób na to. Postanowiła przebrać się w cudze rzeczy i tak wyjść wieczorem z pałacu.

Książę wynajął lożę w Operze i tam wolno było Klarze bywać, nawet samej. Od czasu, gdy Józefina była u niej, jeździły zawsze razem na przedstawienia, i na tem opierała Klara cały swój plan.

Gdy nadeszła siódma, pojechały obiedwie do Opery i w obecności stangreta i służącego weszły do przedsionka.

— Przyjedźcie po nas o jedenastej, — rzekła Klara do lokaja.

Gdy kareta znikła, pobiegły obie szybko do pobliskiego hotelu, w którym poprzednio wynajęły pokój i tam przebrały się w przygotowane już suknie kwiaciarek ulicznych. Klara była przekonaną że w tych strojach nikt ich nie pozna.

Nawet i koszyków z świeżemi kwiatami nie brakło, i tak przeistoczone, poszły śmiało na koncert kapeli cygańskiej do Folies Bergeres.

Nikt tam nie wzbraniał im wstępu — w pauzach wchodziło zawsze dużo kwiaciarek na salę i podawało gościom wonne kwiaty.

Sala była dziś, jak zwykle przepełniona. Koncert rozpoczął się właśnie.

Rigo, stojący na małem wywyższeniu, trzymał skrzypce, i zachwycał słuchaczy swoją grą mistrzowską, a Klara, zapatrzona w ukochanego, zbliżała się coraz to więcej do estrady.....

Publiczność wstrzymywała niemal oddech, aby nie stracić jednego tonu tej gry cudownej, nagle jednak opuścił Rigo skrzypce i smyczek wypadł mu z ręki.

Zobaczył tuż przed sobą Klarę!

I zanim zgromadzeni goście zrozumieli co się właściwie stało, podniósł Rigo szybko smyczek i grał dalej. I teraz zabrzmiała melodya, tak piękna, jak pieśń aniołów, a tak ognista, jak płomienie wulkanu — każdy dźwięk jej zdawał się mówić Klarze: „Kocham cię, kocham cię!"

Publiczność słuchała, jak zelektryzowana, a gdy Rigo grać skończył, podniosła się prawdziwa burza oklasków. Panie wstawały, panowie wołali jego imię, w sali powstał gwar nie do opisania.

Rigo dziękował uprzejmym ukłonem za oddawane mu hołdy, ale oczy jego szukały jednej tylko postaci, i teraz — spojrzenia obojga spotkały się!

Klara, zapominając o całym świecie, wbiegła na estradę i podała artyście trzy czerwone róże.

Nowy grzmot oklasków rozbrzmiał po sali, publiczność była zachwycona tą owacyą ślicznej kwiaciarki!

Rigo przycisnął róże do ust wobec tysięcy ludzi — — raz jeden i drugi. — —

Józefina była przerażona tą śmiałością księżnej. Jakie okropne mogło to za sobą pociągnąć skutki!

Jak łatwo mógł się tu znajdować jaki agent księcia, i jeżeli by Klarę poznał.....

Ale księżna nie myślała o tem. Bliskość ukochanego dodawała jej odwagi, i kto wie, jaką nową byłaby popełniła nieostrożność, gdyby jej w tej chwili nie był ktoś silnie za rękę schwycił.

Klara zadrżała i obróciła się.

Za nią stał jej mąż, z twarzą strasznym wykrzywioną gniewem.

— Milcz i pójdź ze mną, — syknął przez zaciśnięte zęby. — Nie zapominaj kim jesteś. Jeżeli upadłaś już tak nizko, że w przebraniu biegasz po lokalach za twoim cyganem, to przynajmniej nie wywołuj tu większego skandalu! Inaczej ogłoszę cię publicznie za obłąkaną!

Ani Józefina, stojąca w pewnej odległości, ani Rigo, nie zauważyli tej sceny, i książę wyprowadził szybko żonę z sali.

Teraz stanęli na ulicy. Dwóch mężczyzn zbliżyło się do nich.

— Więc obawy księcia ziściły się? — zawołał jeden z nich. — Znalazłeś małżonkę tutaj?

— Tak, i przekonaj się sam, panie doktorze, jak ją znalazłem, — odrzekł książę. — Nieszczęśliwa opuściła mój dom w przebraniu i poszła do Folies Bergeres. Czy to nie dowód obłąkania? Już od kilku miesięcy uważam, że umysł mej drogiej żony zaczyna się mącić.....

Klara zdrętwiała. Poznała ona natychmiast zamiary męża — chciał on ją umieścić w zakładzie obłąkanych, aby ją rozłączyć z Rigiem. — — —

Ale teraz chodziło o to, aby dowieść, że nie jest obłąkaną. Zebrała się więc całą siłą woli i starała się zapanować nad swojem przerażeniem. Byleby tylko być spokojną!

Obydwaj ci panowie byli zapewne lekarzami z domu obłąkanych, książę przekupił ich, aby uznali ją za obłąkaną. Po chwili zbliżył się trzeci jeszcze mężczyzna, którego Klara znała aż nadto dobrze. Był to jakiś zbankrutowany szlachcić, nazwiskiem Fallandiere, który za pieniądze był wszystko gotów uczynić. Uczciwi ludzie pogardzali nim, ale książę Chimay przyjmował go u siebie i posługiwał się nim chętnie.

Równocześnie zajechała zamknięta kareta.

— Siadaj, — rzekł książę do żony, — w domu rozprawimy się jeszcze!

Klara zwróciła się do lekarzy.

— Ja nie jestem obłąkaną, — zawołała, — przekonajcie się panowie, że mówię rozsądnie! Widzicie mnie wprawdzie w dziwnem przebraniu, niestósownem dla mnie, tak samo, jak niestósowną dla kobiety mego stanowiska była bytność moja na koncercie w Folies Bergeres, ale ja uczyniłam to umyślnie, aby usłyszeć grającego cygana, którego kocham od dawna.....

— Jakie bezczelne wyznanie, — przerwał książę z wściekłością. — Czy to nie dowód, że umysł jej nie jest normalny?

— Nie! — rzekła Klara, siląc się na spokój. — Ja kocham Riga i zawsze go kochać będę i nikt mnie dlatego za obłąkaną uważać nie będzie! Nie wierzcie panowie księciu! On chce zagarnąć moje miliony, o więcej nic pewnie mu nie chodzi!

— Skończmy już, — krzyknął książę. — W domu możemy dalej o tem mówić!

— Ale ja nie chcę jechać z tobą do domu, — oparła się Klara.

— Co, nie chcesz wracać do domu? Słyszycie panowie? Będziecie świadczyć o tem przed sądem, gdy wniosę skargę o rozwód! Więc ta nieszczęśliwa kobieta odmawia mi posłuszeństwa i chce nocować na ulicy!

— Nie, na ulicy nie zostanę, pójdę do mojej przyjaciółki, markizy La Tournee, ona mnie przyjmie i nie odmówi mi swej opieki. Ale z tobą nie pojadę!

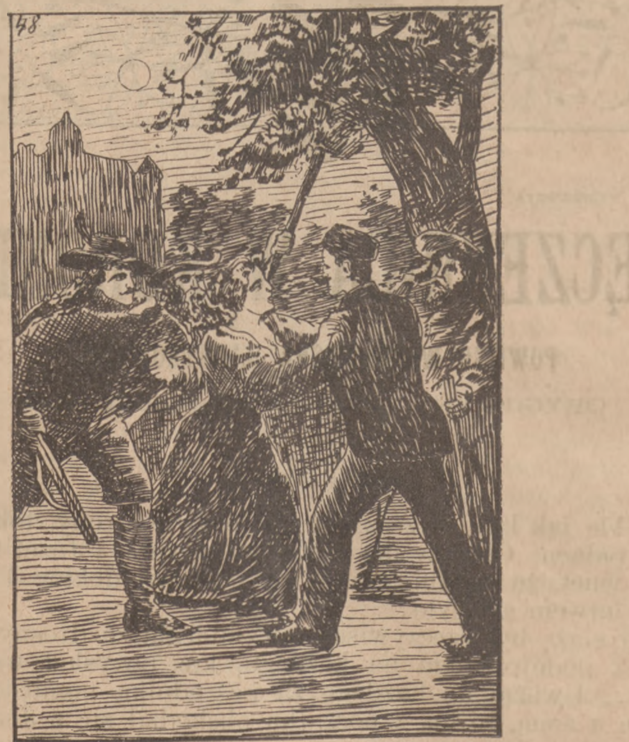
— W takim razie zmuszę cię do tego.

I zanim się Klara spostrzegła, objął ją książę w pół i chciał uprowadzić.

— Ratunku! — krzyknęła z rozpaczą, — chcą mnie zabić — ratunku!

W tej samej chwili wyszła Józefina na ulicę. Szukała ciągle księżnej na sali, i nie mogąc jej nigdzie znaleźć, tknięta złem jakiemś przeczuciem, wybiegła przed teatr. Klara spostrzegła ją.

— Józefino, zawołała, —uwolnij mnie! dopomóż mi! Chcą mnie zamknąć w domu obłąkanych — niech Rigo mnie broni — powiedz mu. — —



Ratunku! —krzyknęła Klara z rozpaczą—chcą mnie zabić — ratunku

Książę wrzucił formalnie żonę do karety, sam usiadł obok niej, obydwaj doktorzy zajęli miejsca naprzeciw nich, Tallandiere wskoczył na kozioł, i konie popędziły jak szalone.

Stało się to wszystko tak prędko, że Józefina ledwie mogła pojąć całą tę scenę.

To jedno tylko wiedziała teraz, że nie ma chwili czasu do stracenia, jeżeli chce ratować przyjaciółkę, i dlatego wróciła spiesznie na salę.

Właśnie była pauza, Rigo chodził tu i tam, szukając Klary. Józefina zbliżyła się do niego.

— Pan jesteś Rigo, i szukasz księżnej Chimay, nieprawdaż — zapytała.

— Tak, — szepnął zdumiony, — ale zkąd pani masz prawo pytania mnie o to?

— O, zaufaj mi pan! Przysięgam ci, że jestem przyjaciółką Klary i że pragnę gorąco jej szczęścia! Ale wielkie niebezpieczeństwo grozi jej obecnie.....

— Co się stało? Na Boga, mów pani!

— Książę był tutaj, wyprowadził ją z sali, i zdaje mi się, że z pomocą kilku znajomych zawiezie ją do domu obłąkanych.....

— Ah, nędznik!

Rigo zacisnął pięści, a oczy jego dzikim błysnęły gniewem.

— Tak, trzeba nam obmyśleć natychmiast sposób ocalenia jej! Księżna sama zdążyła jeszcze powiedzieć mi, że chcą ją zawieść do domu obłąkanych, ale dokąd — tego naturalnie nie wiem!

— O, ja ją znajdę, — zawołał Rigo, — chociażbym świat cały miał przeszukać! Ale wtedy biada księciu! Jeżeli Klarze jeden włos z głowy spadnie — wtedy wybiła ostatnia jego godzina, wtedy zamorduję go bez litości, tak, jak on mnie chciał zamordować!

— Spieszmy się, — naglila Józefina.

Rigo poprosił jednego z cyganów o zastąpienie go w dyrygowaniu kapeli, kazał oznajmić publiczności, że nagle zachorował, i kilka minut później wychodził z Józefiną z gmachu teatralnego, udając się na poszukiwanie swej ubóstwianej Klary.

(Ciąg dalszy nastąpi).